



MARZEC **NIEPODLEGŁOŚĆ.** 1989

miesięcznik polityczny

Organizacji Liberalnych Demokratów

Nr. 87

WARSZAWA

cena 180 zł.

POROZUMIENIE CZY GOSPODARCZY SKANDAL ?
UTWORZENIE CENTRALNEGO URZĘDU PLANOWANIA
WOKÓŁ BIAŁYCH PLAM CZ. IV
ROZMOWY "NIEPODLEGŁOŚCI":
I. Z WEGREM GYÖRGY KASSÓ
ZSRF - AFGAŃSKA LEKCJA:
O JEDEN MOST ZA DALEKO

KOMUNIKATY:

Wydaje GP "N"

P O R O Z U M I E N I E C Z Y G O S P O D A R C Z Y S K A N D A L ?

Zrozumienie spraw gospodarczych w środowisku opozycji, zasiadającej przy stole z komunistami, jest wciąż bardzo małe. Opozycja ta przyjmuje milczące założenie, że kompromis polityczny jest sprawą pierwszoplanową, a z gospodarką i tak będą musieli sobie poradzić czerwoni. Rozdzielanie spraw politycznych od gospodarczych w środowisku złożonym w większości z byłych /?/ marksistów, doprawdy zdumiewa. Widoczne to było już w latach 1980-81, a obecnie przybiera rozmiary horrendalne.

Polityka klajstrowania

Charakter kontraktu, który miał być osiągnięty przy "okrągłym stole", był od początku czytelny. Porozumienie miało obejmować dwie sprawy. Z jednej strony zalegalizowana zostanie "Solidarność" /a także "Solidarność" RI i NZS/, z drugiej zaś zdemokratyzowana ordynacja do sejmu /okazuje się, że i senatu/ zapewni dość szeroki udział siłom niekomunistycznym i pozwoli uzyskać przyzwoitą frekwencję. Pierwszą sprawą zainteresowana była, rzecz jasna, "Solidarność", drugą przede wszystkim władze. Kontrakt jest jasny, przejrzysty i sądzę, że uczciwy. Coś za coś. Gdyby rokowania takie odbyły się między KKW lub inną reprezentacją "Solidarności" a stroną rządową i dotyczyły tylko spraw, bezpośrednio związanych z kontraktem, wszystko byłoby w porządku. Jednak obie strony, z różnych zresztą powodów, postanowiły "stół" rozszerzyć i napisały scenariusz dramatyzujący obrady. Po pierwsze, tzw. strona społeczno-solidarnościowa mianowana została przez bliżej nieokreślone gremium działaczy z kręgu Komitetu Obywatelskiego. Niezależnie od tego, z jakich środowisk pochodzą "stołowicze" legitymacja, uprawniająca ich do wejścia do pałacyku przy Krakowskim Przedmieściu, wystawiona została przez kilku ludzi manipulujących Komitetem Obywatelskim. Wytworzono w ten sposób wrażenie reprezentacji społeczeństwa, lecz reprezentacja ta była mianowana, a nie desygnowana przez środowiska. Najjaskrawszym tego przykładem było skandaliczne kwestionowanie mandatu Siły-Nowickiego do reprezentowania strony solidarnościowej, mimo że mecenas posiadał upoważnienie regionu szczecińskiego. Dla ludzi ustalających listę przy stole, mecenas Siła-Nowicki nie reprezentuje żadnej części opozycji, w odróżnieniu od, powiedzmy, Dariusza Fikusa czy profesora Mujzela, którzy uzyskali legitymację dobrych opozycjonistów. Miejsca przy stole rozdzielane były zatem według systemu nomenklatury, co zresztą, wzięwszy pod uwagę kto rozdzielał, nie tak bardzo dziwi. Nomenklatura, poza wieloma swoimi zaletami, ma też tę, że obdarowany zaszczytami czuje potrzebę lojalności w stosunku do obdarowującego. Przy stole obowiązuje zatem dyscyplina godna obrad podstawowej organizacji partyjnej. Gdyby stroną przy stole była "Solidarność" /tylko kto to dziś jest?/, wszystko byłoby w porządku. Sztuczne rozszerzanie reprezentacji społecznej i stwarzanie wrażenia, że jej bazą jest całe społeczeństwo, było już nadużyciem. Nadużycie to zostało dokonane zgodnie przez obie strony. Dla władzy jest to wygodne, gdyż w razie czego i tak może zakwestionować wiarygodność partnerów i zacząć grać na tych, których do stołu nie dopuszczono lub też sama może sobie zorganizować stronę społeczną. Na razie znalazła partnera wiarygodnego przynajmniej dla Zachodu i to jej wystarcza. Dla grupki doradców ze środowiska Komitetu Obywatelskiego powyższa manipulacja jest jeszcze wygodniejsza. Tak naprawdę powinni najpierw przeprowadzić wybory w "Solidarności", zweryfikować mandaty obradujących i dopiero rozmawiać z władzami. No, ale wtedy, być może, okazałoby się, że większość wybitnych polityków nie reprezentuje nikogo.

Drugim nadużyciem "okrągłego stołu" było rozszerzenie tematów obrad. Wobec niereprezentatywności strony społecznej powinna była ona dążyć do zawężenia tematów tylko do spraw wyjściowych /legalizacja "S" i otwarcie polityczne/. Reszta spraw winna być tematem uzgodnień, gdy społeczeństwo będzie w stanie wysunąć swoją wiarygodną reprezentację. Znow jednak dla obu stron wygodniejsze okazało się stwarzanie pozorów niż uczciwa gra. Doproszeni przez solidarnościowych

decydentów intelektualistów mogli przeżyć rozkosz bycia w centrum uwagi środków publicznego przekazu i czuć się w roli "prawie-ministrów" /rola "prawie-ministra" jest znacznie lepsza niż rola zwykłego ministra, albowiem daje bez porównania więcej zaszczytów, bez najmniejszej nawet odpowiedzialności/. Dla władzy rozszerzenie zakresu rozmów dawało propagandowy handicap. Oto, wszystkie sprawy zostały omówione i załatwione, zawarliśmy porozumienie i od 4 kwietnia wszystko będzie już w Polsce cacy. A jeżeli okaże się, że cacy nie będzie? No to znajdziemy winnych. My w każdym razie, wypełniamy postanowienia skrupulatnie.

Porozumienie się w tak szerokim zakresie spraw w ciągu kilku tygodni, było oczywiście niemożliwe. Nawet, gdyby istniała teoretyczna możliwość osiągnięcia punktów stycznych, to wymagałoby to znacznie dłuższego czasu dyskusji i na pewno nie mogłoby się odbywać w świetle jupiterów. No cóż, trzeba jednak było coś podpisać. Podpisywano zatem teksty, nie mające żadnego znaczenia praktycznego. Ot, choćby w sprawie rolnej, że dążyć się będzie do urynkowania rolnictwa /jakimi sposobami, kiedy, kto za to zapłaci? Niewiadomo!/. W sprawie ekologii, że trzeba chronić przyrodę i tak dalej, ble, ble, ble ! Czy podobny bełkot był ceną, którą strona opozycyjna musiała zapłacić za legalizację Związku ? Nie sądzę. Gdyby tak było, nie miałbym o to do nikogo pretensji. Nie moja transakcja, nie ja płacę cenę. Podobny bełkot był coprawda potrzebny komunistycznej propagandzie, ale obyła się ona i bez niego. Sądzę raczej, że to gadulstwo przy stole było efektem niewyżytych ambicji opozycyjnych intelektualistów niż chytrą manipulacją czerwonego. To, że on właśnie odniósł z niego większe korzyści, to już inna sprawa.

W cieniu gilotyny

Gdybym był rysownikiem i chciał narysować obrady "okrągłego stołu" narysowałbym stół umieszczony pod ostrzem gilotyny. Gilotynę stanowi rozpadająca się gospodarka, a zwłaszcza inflacja, której nie potrafią opanować władze i na którą żadnej recepty nie ma opozycja. Inflacja denerwuje wszystkich, sprawia, że nikt nie czuje się materialnie bezpieczny. Ta nerwowość potęguje zresztą inflację, gdyż kto tylko może, na wszelki wypadek, stara się uzyskać podwyżkę ponad to, co mają inni. Powstaje w ten sposób, znana ekonomistom, sytuacja paniki, która przyspiesza ekonomiczny upadek. Jak na razie dochodzi tylko do sporadycznych strajków i to w zakładach mniejszych, a zatem bezpieczniejszych. Co jednak będzie, gdy fala strajkowa ogarnie zakłady duże i solidarnościowe twierdze? Może się wtedy okazać, że przywódcy "S", zwłaszcza ci, którzy siedzą przy stole, nie są w stanie powstrzymać załogi od strajku. Pozostanie im albo przyłączyć się do strajkujących, robiąc dobrą minę do złej gry, albo też przestaną być w oczywisty sposób przywódcami. Strajki mogą zatem zakwestionować wiarygodność tzw. strony społecznej i tym samym wyrzucić stół. Trudno prorokować, jakie byłyby tego skutki, lecz bardzo prawdopodobne w takim przypadku byłoby wprowadzenie stanu wyjątkowego, zmiana rządzącej ekipy i ponowne represje. Każdy Czytelnik może sobie na własną rękę scenariusz ten rozpiścić na wiele podwariantów i łatwo wtedy sobie uświadomić, że niektóre z nich są dość krwawe.

Strona solidarnościowo-społeczna, reprezentując środowisko intelektualistów lewicowo-opozycyjnych, zaś za plecami mając masy związkowe, nie jest oczywiście w stanie potępić strajków. Jest to zrozumiałe, lecz świadczy to o tym bardziej ograniczonej reprezentatywności tej grupy. Twierdzenie, że reprezentuje ona społeczeństwo, jest oczywistym nadużyciem. Nikt się społeczeństwa przede wszystkim nie pytał o zdanie, nikt z nim nie konsultował. Dla społeczeństwa strajki są uciążliwe i sądzę, że demokratyczna większość opowiedziałaby się dziś przeciwko nim. Nie widzę żadnego sensu w strajkach, powiedzmy, kierowców WPK czy listonoszy. To znaczy, mają one sens tylko dla zainteresowanych grup, ale dla reszty społeczeństwa są jedynie stratą. Tymczasem strona solidarnościowo-opozycyjna nie jest oczywiście w stanie ich potępić, gdyż sama wyrosła z etosu strajkowego.

Tym bardziej nie jest w stanie zorganizować dla ewentualnego porozumienia, poparcia "milczącej większości", przeciwnej strajkom. Doradcy "Solidarności" staną się zatem więźniami grupiek strajkujących i będą zmuszeni jechać w stronę, przez te ostatnie wyznaczoną. Jeżeli się tak stanie, porozumienie zostanie zerwane i wrócimy do punktu wyjścia.

Ta konstatacja wskazuje na to, że sprawy gospodarcze stają się najważniejszym problemem politycznym. Sprawy te zostały jednak przez stronę opozycyjną całkowicie zlekceważone, skoro do negocjacji z czerwonymi wyznaczono ekipę najgorszą z możliwych, na czele z miłośnikami gospodarki planowej - Bugajem i Mujzelem.

O co chodzi przy stoliku gospodarczym?

Jak już powiedziałem, ustalenia przy ubocznych "stolikach" nie będą miały merytorycznego znaczenia. Ważne są ustalenia polityczne, a sprawy pozostałe stanowią jedynie ozdobniki. Nie jest natomiast sprawą obojętną, jakie propozycje przy "stolikach" zgłaszają poszczególne strony. Pod tym względem "stolik" gospodarczy jest, rzecz jasna, najważniejszy.

O ile przy sprawach politycznych strona opozycyjna zgłaszała żądania bardziej radykalne /choć nie zawsze i nie wszystkie postulaty solidarnościowe były najszczęśliwsze/, to w sprawach gospodarczych role się nieomal odwróciły. To rząd namawiał do urynowienia rolnictwa /to znaczy do zniesienia sztywnych cen skupu i sztywnych cen na żywność wzamian za zniesienie kartek/, a strona społeczna postulat ten blokowała. Propozycje czerwonych w sprawach gospodarczych były często niewłaściwe, ale nie spotykały się bynajmniej z radykalniejszą wersją "Solidarności". Ta ostatnia domagała się, przede wszystkim, zmniejszenia budżetu wojskowego i ubeckiego, zniesienia nomenklatury, wzmocnienia roli samorządów i indeksacji płac. Postulaty te, w gruncie rzeczy, nie dotyczyły sedna sprawy, były postulatami politycznymi, a nie gospodarczymi.

Można oczywiście, i nawet trzeba, żądać zmniejszenia obciążeń na zbrojenia i ubecję. Tyle, że nie w tych obciążeniach jest pies pogrzebany. Nikt dokładnie nie wie, jakie sumy mogłyby wchodzić w grę, lecz znając jakość wyposażenia wojska, stan umundurowania i wyżywienia żołnierzy, wątpię, by kryły się tu duże rezerwy. Zresztą, jeśli sumy uzyskane ze zmniejszenia wydatków na armię przeznaczone zostaną tylko na bieżącą konsumpcję, sytuacja nie zmieni się.

Również żądanie zniesienia nomenklatury, nie jest dziś najważniejsze. Nomenklatura nie powinna istnieć, ale nie zlikwiduje się jej bez reprivatyzacji przemysłu. Skoro zakłady są własnością państwa, właściciel ma prawo obsadzać swą własność takimi menedżerami, jacy są mu wygodni i zawsze znajdzie sposób, by to prawo wyegzekwować. Będzie tak nawet wtedy, gdy zniesiona zostanie oficjalnie nomenklatura i rekomendacje. Sprawa numer jeden gospodarki to jej uwłaszczenie, a nie tworzenie tworów o sztucznej własności: państwowej, zarządzanej przez niezależnych /?/ menedżerów pod kontrolą samorządu, a takie mniej więcej rozwiązanie proponują specjaliści z "Solidarności".

Wreszcie sprawa indeksacji, którą strona solidarnościowa traktuje jako swój sztandarowy postulat ekonomiczny. Gdyby indeksacja mogła rzeczywiście uspokoić rewindykacje płacowe, narastające w sposób chaotyczny, należałoby ją uznać za środek właściwy. Możliwości takiej jednak nie ma i ekonomiści, nawet tacy jak Bugaj, doskonale to rozumieją. Po pierwsze, dotychczasowe systemy płac są ogromnie zróżnicowane, dużą część płac stanowią różnego rodzaju dodatki i premie uznaniowe. Nie istnieje zatem żaden przejrzysty sposób, by zindeksować je właściwie. Skoro tak, to pojawiają się rewindykacje, gdyż każda niemal grupa będzie się czuła w procesie indeksacji swych płac skrzywdzona. Drugim czynnikiem, który położy indeksację będzie obecna struktura płac. Jest ona niewłaściwa i wiele zawodów oraz wiele przedsiębiorstw odbiega od średniej w sposób ewidentnie krzywdzący. Spowoduje to, rzecz jasna, z ich strony rewindykacje, które doprowadzą do załamania systemu indeksacji, to znaczy do podwyżek płac większych niż by to wynikało z tego systemu. Skutkiem będzie zatem zwiększona inflacja.

Stawianie sprawy indeksacji /a przemilczenie spraw związanych ze zmianą struktury własności gospodarki/ jest spowodowane tym, że eksperci "Solidarności" nie czują się wcale reprezentantami interesów społeczeństwa, lecz "Solidarności", to jest związku zawodowego. Najwyższy czas zrozumieć tę subtelną różnicę.

Więszym skandalem niż postulaty ekonomiczne "S" było to, co w pakiecie postulatów nie zostało zawarte. A więc nie zawarto tam żądania zniesienia cen ustalanych przez państwo, nie wspomniano nic o własności przedsiębiorstw, dziś państwowych. Tomasz Gruszecki, doradca niedopuszczony do stołu, proponował, by przedsiębiorstwa przekształcić w spółki, w których to, co jest obecnie tzw. "własnością przedsiębiorstwa" przekształcić we własność samorządu, jako konkretnego podmiotu gospodarczego. Propozycja ta była oczywiście połowiczna, lecz stwarzała punkt wyjścia do dalszej własnościowej ewolucji. Została ona odrzucona przez ekspertów "S", jako zbyt kapitalistyczna. Nie domagano się urynkowienia służby zdrowia, nie postulowano wprowadzenia rynku kapitałowego w Polsce, nie wspomniano słowem o stworzeniu lepszych warunków dla importu kapitału, itd, itp. Skandalem największym było żądanie, jakie pojawiło się pod koniec rozmów, a zgłoszone zostało przez prof. Mujzela, by "wyrównać" start przedsiębiorstw państwowych, to jest - każde z nich traktować inaczej. Te, które są bardziej efektywne, dodatkowo opodatkować, gorszym dodatkowo pomóc dotacjami, a w ogóle to wzmocnić centralny aparat planistyczno-regulujący, gdyż tylko przy wzmocnieniu go, także ilościowym, możnaby nad taką operacją zapanować. Praktycznie oznaczałoby to po prostu powrót do systemu nakazowo-rozdzielczego, do którego zresztą profesor Mujzel jest przyzwyczajony, na którym zrobił swą naukową "karierę".

Czego "Solidarność" nie zaproponowała?

"Solidarność" miała szansę przedstawienia przy "okrągłym stole" własnej wizji przejścia od gospodarki komunistycznej do kapitalistycznej. Wizji tej nie zaprezentowała z przyczyn ideologicznych. Czołowi decydenci Związku są po prostu zwolennikami gospodarki upaństwowionej, nie mają wcale zamiaru jej przebudowywać w kierunku rynkowej. Mówią, co prawda, o mechanizmach rynkowych /mówienie nic nie kosztuje/, ale gdy przychodzi do szczegółów blokują wszelkie przemiany. Koronnym ich argumentem jest niemożność dokonania takiego przejścia. Czy rzeczywiście jesteśmy skazani na gospodarkę upaństwowioną?

Nie jest problemem teoretyczne opracowanie scenariuszu reprivatyzacji. Scenariuszy takich jest kilka, wszystkie mają jednak tę wadę, że nie uwzględniają oporu społecznego, który zapewne powstanie przy operacji transformacji. Na moment ten zwracają uwagę solidarnościowi decydenci, sprowadzając całą sprawę do absurdalnego założenia o niemożności dokonania jakichkolwiek zmian w gospodarce. Możliwość taka, moim zdaniem, istnieje, trzeba tylko przyjąć założenie, że zmian takich rzeczywiście pragniemy /co dla Bugaja i Mujzela jest oczywiście nie do przyjęcia/. Polskę w takiej sytuacji czeka proces podobny do tego, który dokonuje się w Wielkiej Brytanii od 10 lat - reprivatyzacji, przy silnym oporze związków zawodowych. Polityka theatcheryzmu przyniosła w Wielkiej Brytanii sukces lecz jej proste powtórzenie w Polsce jest niemożliwe ze względu na skalę etatyzmu i słabość gospodarki. Niezbędne jest zatem zasilenie z zewnątrz, to jest wykorzystanie zachodnich kredytów do zbudowania w Polsce kapitalizmu. Scenariuszem takim /gdyby został zaproponowany przez wiarygodne osoby w Polsce i zagwarantowany przez władze/ Zachód byłby zainteresowany. Niestety, jak na razie nie jest tym zainteresowana "Solidarność".

Janusz NOWICKI

Ustawą z 23 grudnia 1988r. /Dz.U.Nr. 41 poz. 328/ zniesiono Komisję Planowania przy RM i ustanowiono na to miejsce nowy organ naczelny /1/ - Centralny Urząd Planowania /CUP/. Tym samym uchylona została ustawa o Komisji Planowania przy RM /2/, a więc i wszystkie jej dotychczasowe kompetencje. Nowy organ jeszcze nie działa, nie znamy jego struktury organizacyjnej, ilości pracowników, a jak na razie /do końca stycznia 1988r./ Sejm nie powołał jeszcze kierownika CUP /3/. Nie sposób więc na razie ocenić, czy mamy do czynienia z faktyczną zmianą praktyki planowania centralnego w gospodarce. Na razie więc można tylko porównać kompetencje ustawowe b. Komisji Planowania przy RM i obecnego CUP; tu zaś wyraźnie widać, że kompetencje CUP-u zostały zmniejszone i jego rola jest wyraźnie mniej eksponowana. Nie sposób wreszcie nie zauważyć, że likwidacja KP przy RM ma przede wszystkim znaczenie psychologiczno-symboliczne /jak większość zresztą dotychczasowych śmiałych posunięć ekipy Rakowskiego/: upadł najbardziej dotąd trwały symbol prymatu planu w gospodarce, bastion zwolenników przewagi planu nad rynkiem, który licząc łącznie z PKPG, ma już prawie 40 lat. Choćby więc z tego punktu widzenia zmianę tę należy ocenić pozytywnie.

Historia i symbole

Już w Polsce międzywojennej istniała "orientacja planistyczna" /reprezentowana głównie przez ekonomistów związanych z rządem/, która stała na stanowisku, że do rozwoju zacofanej gospodarki polskiej, ożywienia koniunktury i harmonijnego rozmieszczenia przemysłu w układzie terytorialnym, konieczny jest silny zastrzyk interwencjonizmu państwowego. Wyrazem tego była budowa Gdyni, COP-u i długofalowy /sięgający aż po lata 50-te/ plan rozwoju gospodarczego ówczesnego wicepremiera E.Kwiatkowskiego. Zresztą w latach trzydziestych także i inne rządy /Niemcy, Włochy, USA/ zaczęły eksperymentować z praktycznym wdrażaniem teorii popytowej J.M.Keynesa i próbami nakręcania koniunktury przez roboty publiczne. Oczywiście nie miało to nic wspólnego z totalnym upaństwowieniem i komunistycznym modelem gospodarki: zakładano po prostu, że największy efekt nakręcania popytu dadzą inwestycje finansowane centralnie w nowoczesnych i dużych przedsiębiorstwach państwowych /sektor państwowy tworzył wówczas ok. 20% dochodu/. Z ekonomicznego punktu widzenia było to ostro podważane przez szkołę rynkową, ale i inne względy wchodziły tu w grę, a zwłaszcza strategiczne /rozwój produkcji zbrojeniowej, strategiczne rozmieszczenie terytorialne przemysłu/. Z innych względów orientację na gospodarkę planową, ale wielosektorową, głównie zresztą w sferze podziału dochodu narodowego, popierały różne nurty socjalistyczne /nieliczne grupki komunistyczne miały zupełnie marginesowe znaczenie/.

Dlatego postulat prowadzenia długofalowego planowania strategicznego /nie-dyrektywnego/ nie musiał bynajmniej być wyrazem przyjęcia politycznej opcji socjalistycznej, a już na pewno nie komunistycznej. Koncepcja planowania gospodarczego ma swoje własne, polskie źródła.

W czasie okupacji prace koncepcyjne nad przyszłym planem odbudowy i rozwoju kraju były prowadzone przez grupę ekonomistów związanych z rządem londyńskim /m.in. J.Drewnowski/. Dlatego dosyć szybko powstał i zaczął działać już w 1945r. Centralny Urząd Planowania - CUP, pod kierownictwem Cz.Bobrowskiego. Zaczął on gromadzić informacje o stanie majątku, podstawowych wielkościach produkcji, ruchu cen i wkrótce opracował pierwszy plan długookresowy - trzyletni Plan Odbudowy Kraju /1946-49/. Plan ten opierał się na dosyć pewnych danych, kładł nacisk na odbudowę podstawowej infrastruktury oraz produkcję zaopatrującą ludność i rolnictwo. Był to jedyny plan gospodarczy, który został wykonany, nie tylko w podstawowych wielkościach /niektóre zostały przekroczone/, ale w założonych proporcjach rozwoju. Wprowadzenie stalinowskiego systemu monopartyjnego

* Artykuł zdjęty przez cenzurę z "ŁADU".

/1/ co oznacza, że jego kierownik wchodzi automatycznie w skład Rady Ministrów,
/2/ ustawa z 12 lipca 1984r. o Komisji Planowania przy RM /Dz.U. Nr. 35 poz.186 i z 1986r. Nr. 47, poz. 226/,

/3/ "Rzeczpospolita" z 31.01.1989r. podała, że kandydatem na to stanowisko jest dr.F.Gaik, ekonomista, niepracujący poprzednio w Komisji Planowania.

w 1948r. nastąpiło przez pacyfikację wszystkich innych partii i stronnictw, wprowadzenie ludzi PZPR na kierownicze stanowiska we wszystkich ogniach władzy; jedna z pierwszych rozgrywek na tym polu dotyczyła właśnie CUP-u. Jego kierownictwu zarzucono "niemarksistowskie podejście" do gospodarki. Kierownikiem CUP-u został bezwzględny wykonawca programu industrializacji i pauperyzacji społeczeństwa - Hilary Minc. W 1950r. w Polsce przyjęto rosyjski model totalnej kontroli nad gospodarką z Komisją Planowania i kilkoma, a wkrótce kilkadziesiąt, ministerstwami i centralnymi organami, kierującymi już nie tylko poszczególnymi gałęziami przemysłu, ale i branżami. Na czele tej budowli stała Państwowa Komisja Planowania Gospodarczego, która kierowała całą gospodarką. Opracowywała ona obowiązujące limity, nakazy i normatywy, także dla poszczególnych ministerstw. W 1956r. skompromitowana PKPG została zamieniona w Komisję Planowania przy RM; teoretycznie miał to być "sztabowy organ rządu" do spraw planowania, ale nawet formalnie KP przy RM miała szereg uprawnień koordynacyjno-władczych w stosunku do kierowników innych resortów, dzieliła surowce, dewizy, sporządzała bilanse i plany dla poszczególnych resortów. W okresach recentralizacji nawet przekroczenie limitu zatrudnienia czy inwestycji wymagało zgody Komisji Planowania, a jej nadrzędna pozycja w kierowaniu całą gospodarką była dalej niekwestionowana. Organ ten miał monopol na sporządzanie analiz, bilansów i planów - tak że rządowi i Sejmowi pozostawało tylko ich uchwalenie. Jej przewodniczący zawsze wchodził w skład Biura Politycznego PZPR i w skład prezydium rządu. Dla wielu nie było takie jasne, np. w latach sześćdziesiątych, czy jest to Komisja Planowania przy Radzie Ministrów, czy też odwrotnie - Rada Ministrów przy Komisji Planowania.

Ten organ zajmował największy budynek ministerialny w Warszawie i zatrudniał najwięcej urzędników /nie licząc MSW, ale tu trudno o dane/. Ludzie pracujący w Komisji Planowania byli zawsze prawomyślni, dyspozycyjni i łączyła ich absolutna nieufność do rynku i procesów spontanicznych. W Komisji Planowania miały swoich przedstawicieli wielkie grupy nacisku /lobby hutnicze, energetyczne, motoryzacyjne/ i awans przedstawiciela danej grupy zapewniał przyznawanie środków na inwestycje /lobby hutnicze i motoryzacyjne w latach siedemdziesiątych/. Komisja Planowania w Polsce, będąca lustrzanym odpowiednikiem odpowiednich organów w innych **KS** zapewniała "koordynację planów w ramach RWPG" i była łatwo sterowalnym przekaznikiem impulsów i poleceń specjalizacyjnych z Moskwy. Dlatego jej wyżsi funkcjonariusze nie byli nigdy zwolennikami reform rynkowych - co pokazały wyraźnie lata osiemdziesiąte, a niekiedy wręcz prowadzili własną politykę w praktycznym sporządzaniu bilansów, preferencji, limitów dewizowych czy inwestycji centralnych.

Dla wszystkich kół, postulujących reformę rynkową, było jasne, że tu mieści się "bunkier" opozycji przeciwko reformie rynkowej, a nawet samorządowej. Było też jasne, że bez całkowitego pozbawienia tego organu kompetencji do decyzji i dyspozycji środkami, "ręczne sterowanie" ciągle się będzie odradzało. Opozycja wysuwała od dawna postulaty likwidacji Komisji Planowania, ale wydawały się one mało realne. Nie jest przypadkiem, że przeprowadzona reforma organów centralnych na jesieni 1987r. zupełnie ominęła - właśnie Komisję Planowania.

Z tego punktu widzenia, likwidacja KP przy RM i przemianowanie jej na Centralny Urząd Planowania ma wręcz znaczenie symboliczne.

Przesłanki likwidacji

Posunięcie tak radykalnych nie dokonuje się bez powodów. Ponieważ jest to posunięcie przede wszystkim polityczne i to o skutku symbolicznym - bo o praktycznych konsekwencjach nic jeszcze nie wiemy - zatem i rachunek korzyści z tego posunięcia musi mieć także polityczne podstawy. Wydaje się, że istnieją aż trzy argumenty, dla których władze zdecydowały się na likwidację Komisji-symbolu:

Wszelchmocna Komisja Planowania, jako uwięźnienie pionowej struktury organów kierowania gospodarką /Rada Ministrów jest raczej miejscem dokonywania przetargów i ustalania stref wpływów poszczególnych lobby branżowych/, pasuje logicznie do systemu zcentralizowanego. System ten jest oczywiście niewydolny rozwojowo

UTWORZENIE CENTRALNEGO URZĘDU PLANOWANIA

i nieefektywny, ale może zapewnić pewną podstawową równowagę, jeśli bilanse nie są zbyt napięte i istnieje dyscyplina realizacji planu, tj. wykonywania poleceń ustalonych na górze. Do tego potrzebny jest jednak taki model wewnętrznych stosunków w PZPR, gdzie istnieje niekwestionowane wąskie przywództwo kilku osób w Biurze Politycznym PZPR, na czele której stoi z kolei niekwestionowany przez żadną z frakcji interesów, przywódca i arbiter w sporach o władzę i środki. Taką funkcję spełniał Gomułka, ale już nie Gierek, który zupełnie nie panował nad walczącymi o środki lobby gałęziowo-branżowymi i w dodatku nie egzekwował dyscypliny wykonywania poleceń. W rezultacie, przetargi o środki i wpływy dokonywały się głównie w Komisji Planowania - i to w trakcie realizacji planu. Spowodowało to zupełne rozregulowanie jej roli koordynacyjnej - i wręcz fikcję planowania, plany były bowiem bezustannie zmieniane w trakcie realizacji, wchodziły olbrzymie inwestycje niezaplanowane /Huta "Katowice"/ etc.

W systemie ściśle hierarchicznym, losy "pierwszego planisty" są związane politycznie z losami "pierwszego sekretarza", ale w pewnym sensie działa też zależność odwrotna: pierwszy sekretarz ponosi całą odpowiedzialność za rezultaty działania "pierwszego planisty", co praktycznie oznacza, że niepowodzenia polityczne sumują się z gospodarczymi.

Dla gen. Jaruzelskiego nie był to układ wygodny. Odziedzyczył on gospodarkę w marcu 1981r. jako premier, z ujemnymi przyrostami dochodu narodowego i inflacją, ale stopień niezrównoważenia i rozregulowania, do którego doprowadził, przerósł wszystkich jego poprzedników. Gen. Jaruzelski nie chciał jednak ponosić odpowiedzialności za stan gospodarki i politykę gospodarczą, od początku szukając "partyjnych fachowców". W przeciwieństwie do swoich poprzedników, których największym atutem była ostateczna decyzja o rozdziale środków na rozwój - co pośrednio warunkowało kariery - dysponował on o wiele silniejszym argumentem, mianowicie policją i wojskiem, a więc bezwzględna siłą. Nie znając się na gospodarce i zupełnie jej nie rozumiejąc, nie chciał też odgrywać roli arbitra w walce o środki ekonomiczne pomiędzy np. hutnictwem a PGR-ami; zupełnie to nie pasowało do roli "opatrnościowego męża stanu", jaką chciał odgrywać. W rezultacie, pomimo silnej władzy w sensie politycznym, zupełnie nie panował i nie kontrolował przetargów o środki, jakie się odbywały w aparacie partyjno-biurokratycznym /poza zabezpieczeniem roszczeń lobby wojskowo-policyjnego/. W dodatku miał wyjątkowy dar dobierania niekompetentnych ludzi do kierowania gospodarką /J.Obodowski, Gorywoda, Mesner/. Zaczęło istnieć niebezpieczeństwo, że wszystkie niepowodzenia wyjątkowo źle pracującego sztabu gospodarczego zaczną obciążać "pierwszego", sumując się z jego prąkami politycznymi. Spadający polityk potrzebuje zaś wsparcia, a nie dodatkowego obciążenia.

Jaruzelski wyraźnie preferuje sztabowy model podejmowania decyzji. Natomiast Komisja Planowania, wbrew swojej nazwie, nie jest żadną "komisją", ale ciałem autokratycznym, które tylko wtedy może pracować względnie racjonalnie, kiedy jej przewodniczący ma wizję rozsądnej polityki gospodarczej i w dodatku w żelazny sposób zapewnia jej realizację.

Po wyjątkowo nieudanych doświadczeniach z "pierwszymi planistami" lat osiemdziesiątych, Jaruzelski postanowił rozłożyć odpowiedzialność na sztab gospodarczy, a nie skumulować władzę jednej osobie - bo to by było niebezpieczne. Dlatego dwukrotnie usiłował reaktywować Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów /KERM/ jako organ sztabowy, ale o pełnych uprawnieniach realizacyjnych, z koordynacją, kontrolą i odpowiedzialnością za wykonanie. Ostatnia próba nastąpiła w październiku 1988r., kiedy to uchwałą Rady Ministrów Nr. 179 z 1988r. /M.P. Nr. 31, poz. 279/ powołano KERM ponownie /po raz pierwszy w 1982r./. W skład KERM wchodzi obecnie wicepremierzy "gospodarczy" oraz najważniejsi ministrowie - razem 14 osób. Organ ten może już ponosić pełną odpowiedzialność za gospodarkę, zdejmując ją tym samym z generała. Ale tym samym, aby mógł on działać rzeczywiście sprawnie, należało urócić kompetencje Komisji Planowania, w tym i "pierwszego planisty".

Hermetyczny aparat Komisji Planowania zaczął wymykać się spod kontroli i - zamiast dyspozycyjnie realizować ustalenia kolejnych "etapów reformy", prowadził własną grę, tym razem blokującą nawet te reformy, które zostały zaakceptowane na górze. Sytuacja taka zaistniała zwłaszcza w 1987-88r, kiedy Komisja Planowania zaczęła paralizować "II etap" ekipy Mesnera-Sadowskiego. Blokowanie to było tak jawne, że gen. Jaruzelski był zmuszony obsadzić bezpartyjnego Sadowskiego w roli "pierwszego planisty PRL". To zaś znacznie wykraczało poza zakres władzy, jaki zamierzano powierzyć bezpartyjnemu profesorowi.

Zadaniem prof. Sadowskiego miało być bowiem uruchomienie karuzeli dokumentów, które miały świadczyć o głębokiej reformie, argumentowanie w telewizji za podwyżką cen oraz sprawianie dobrego wrażenia w rozmowach z zagranicznymi kołami finansowymi. Do tego wystarczała całkowicie funkcja reprezentacyjna wicepremiera. Tymczasem trzeba było mu powierzyć dostęp do dokumentów i decyzji prawdziwie ważnych: zakres produkcji zbrojeniowej, obciążenia dla Układu Warszawskiego, tajne klauzule umów o współpracy i specjalizacji Polski w RWPG... aparat planistyczny i partyjny z niesmakiem przyjął tę nominację. Szybko zresztą nastąpił upadek ekipy Mesnera-Sadowskiego. Pobyt profana w istotnie ważnym punkcie decyzyjnym nie trwał długo, ale precedens był niebezpieczny. Wszystkie walczące lobby zgodnie i solidarnie zablokowały decyzje Sadowskiego.

Jeśli się przeczyta dokładnie uchwałę Nr. 178 RM z 1988r. w sprawie powołania KERM-u, to widać wyraźnie, że żadne istotne decyzje na szczeblu centralnym nie zostały okrojone - zostały tylko przeniesione z Komisji Planowania do KERM.

Tomasz GRUSZECKI

WOKOŁ BIAŁYCH PLAM CZ.IV

Kampania usuwania "białych plam" w polsko-sowieckich stosunkach nie słabnie. Co ciekawsze, wygląda na to, że czerwoni robią co mogą, by w niej wieść prym, czasami zresztą wyraźnie przebijając miarę. Kuriozalne przypadki, to choćby popisy czerwonej profesury, ujawniającej katyńską dokumentację /W.T.Kowalski/ czy też rehabilitującej Mikołajczyka /E.Duraczyński/, Brak jeszcze tylko w tym koncercie T.Walichnowskiego, obiektywnie wyrażającego racje zbrojnego podziemia z końca lat czterdziestych. Jest to jednak godne innego artykułu. Manipulacje tym tematem demaskowaliśmy już uprzednio /1/, będziemy to także czynili nadal. Tu pragniemy zwrócić uwagę na inne kwestie. Otóż, gros relacji skonstruowane jest w ten sposób, by odpowiedzialnością za sowieckie zbrodnie obarczać wyłącznie stalinizm - a więc wypaczenie komunizmu, a nie sam komunizm. W szczególności zaś stalinowskie NKWD.

Jednakże, być może z powodu słabszej dyspozycji cenzora, trafiają się i publikacje, których teza o stalinowskim charakterze zbrodni zbyć się nie da. Mam tu na myśli choćby "marsze śmierci" ewakuowanych w lecie 1941r więźniów /2/ czy też doniesienia o mordowaniu przez Armię Czerwoną /wraz z wymienieniem z nazwiska dowódcy oddziału/ wziętych po 17 Września polskich jeńców /3/. Publikacje te ukazują dobitnie, że obśmiana przez komunistyczną propagandę teoria dwóch wrogów oparta była na faktach.

Z drugiej strony uderza "orwellowski" wręcz charakter większości odnoszących się do tematu "białych plam" publikacji. Oto, na przykład: jedną z przytoczonych powyżej /3/ kończy passus następujący: "Obszerne wspomnienia płk. Grobickiego z Kozielaska i Griazowca, złożone zostały przez niego w Instytucie Historycznym im. gen. Sikorskiego w Londynie. Z opublikowaniem ich trzeba - niestety - poczekać, aż grono polsko-radzieckich historyków wypowie się wreszcie /na co cała Polska czeka!/ na temat mordu katyńskiego".

Nic lepiej niż powyższa konstatacja nie dowodzi, iż kampania usuwania "białych plam" ma charakter wyłącznie instrumentalny - poprawa stosunków polsko-sowieckich nie jest jej celem. Nas zaś samo przyznanie się Sowieć do katyńskiej zbrodni ani nie usatysfakcjonuje ani nie zadowoli. Normalizację stosunków polsko-sowieckich przyspieszyć i umożliwić może dopiero wzięcie przez Sowiety moralnej i politycznej odpowiedzialności za eksterminację narodu polskiego w latach II wojny światowej i później.

Artur WIECZYSTY

/1/ patrz "N" Nr. 80 i wcześniejsze.

/2/ Dodatek Historyczny do "ŻYCIA WARSZAWY" z .04.1989r. Paweł Koźuch "Ewakuacja".

/3/ "ZA I PRZECIWI" nr 12.1660 z 19.03.1989, A.G. "Droga do Katynia", str. 20.

ROZMOWY "NIEPODLEGŁOŚCI" *
I. Z WĘGIERSKIM OPOZYCYJONISTĄ
GYÖRGY KRASSÓ

- Jak ocenia Pan obecną sytuację w Europie Środkowej i jak Pan widzi możliwość jej rozwoju?

- Obecna sytuacja w Europie Środkowej? - Rozumiem, że chodzi o Europę Wschodnią, cóż, spróbuję odpowiedzieć na to pytanie. Sądzę, że istnieją trzy elementy, które determinują sytuację w Europie Wschodniej. Pierwszy to Moskwa; drugi to władza - to znaczy ludzie, którzy są przy władzy, funkcjonariusze partyjni; trzeci to ruchy niezależne i masy. Bardzo trudno jest cokolwiek przewidzieć, gdyż wszystkie te trzy czynniki mogą się zmienić. Jeżeli założymy, że linia Gorbaczowa utrzyma się - co nie jest całkiem pewne - wtedy ci ludzie, którzy do tej pory byli u władzy i czekali na moment odsunięcia Gorbaczowa, będą próbowali przetrwać przy niej. Z tego powodu muszą pozwolić na istnienie niektórych niezależnych ruchów, w przeciwnym razie zostaliby bowiem odsunięci. Nie mogą też używać żadnych drastycznych środków. Mogą oczywiście przeprowadzać rewizje, przesłuchiwać, ale nie mogą sobie pozwolić na więźniów politycznych. Bezdyskusyjnie jest, że jeżeli linia Gorbaczowa przetrwa, to struktury polityczne ulegną zmianie i wtedy ci ludzie prędzej czy później zostaną odsunięci i przyjdą jacyś inni. Myślę, że będą to inne, bardziej liberalne grupy, w partii komunistycznej, które są w pogotowiu. Na Węgrzech oczywiście mogą powiedzieć kim oni są - to jest oczywiście Pozsgay.

Następnie ruchy niezależne będą musiały ustosunkować się do tych nowych ludzi. Tak więc myślę, że następny okres to będzie okres podziału w niezależnym ruchu demokratycznym na tych, którzy - użyjmy tu sformułowań według starych kategorii - są liberalni i na tych radykalnych. Czyli na tych z demokratycznego ruchu, którzy przyłączą się do liberalnych ludzi w partii i na inne demokratyczne ruchy, które pozostaną w opozycji, mówiąc że nie chcą mieć nic wspólnego z komunizmem. Tak więc, w tej sytuacji opozycja, która przynajmniej na Węgrzech w ciągu ostatnich dziesięciu lat wydaje się, że była bardziej więcej zunifikowana, podzieli się i będziemy mogli dostrzec różnice, które w zasadzie zawsze istniały, ale nikt o nich nie mówił. Myślę, że jeszcze później wrócimy do tych rozważań, jeżeli będziemy mówili konkretnie o Węgrzech.

Teraz inna sprawa. Jeśli Gorbaczow zostanie odsunięty od władzy albo, co nawet bardziej prawdopodobne, zachowa władzę, ale że sam się zmieni. Czyli nie Ligaczow wyrzuciłby Gorbaczowa, ale Gorbaczow stałby się Ligaczowem. W tym przypadku ludzie twardej linii w kierownictwach partii w Europie Wschodniej wywieraliby oczywiście wielką presję na wszystkie demokratyczne ruchy próbując im zagrozić. Wtedy na Węgrzech i w innych krajach wschodnio-europejskich zaistnieje sytuacja taka jaka jest w Polsce, a mianowicie, że społeczeństwo i władza będą całkowicie od siebie odseparowane. Trzeba powiedzieć, że jak dotąd na Węgrzech podział ten nie jest tak klarowny. Są tam pewne grupy, które są pomiędzy establishmentem a opozycją. Nie wiem, która z tych teorii jest bardziej prawdopodobna. Nawet teraz widać, jakim ludziom, przy obecnej swojej linii, Gorbaczow dał w Europie Wschodniej władzę. Takim ludziom jak Jaruzelski. Oczywiście to nie on był dokładnie tym, który mu tę władzę dawał, ale bardzo go lubi. I Jakes i Grosz są tego samego pokroju co Jaruzelski. Oznacza to, że Gorbaczow lubi mieć w swoich koloniach mocną rękę. I jeszcze jedno, gorbaczowska linia, co możemy teraz zobaczyć całkiem jasno, też centralizuje władzę w swoich rękach. Można by powiedzieć - sam nie wiem, nie mogę przewidzieć przyszłości - że zrobił, że dobre rzeczy dzieją się w Związku Sowieckim, bo jest reformatorem i jest

* BIEDRONCE I TADEUSZOWI KADENACEMU dziękujemy za pomoc i współudział w ich zorganizowaniu i przeprowadzeniu.

dobrym carem. To jest możliwe, ale jedno jest pewne, że w krajach Europy Wschodniej ta centralizacja nie jest rzeczą dobrą, ponieważ ona się centralizuje w rękach twardorekich. I pan Grosz na Węgrzech i inni w innych krajach postępują w ślad Gorbaczowa - ale nie tylko jego reform, ale także jego centralizacji władzy. Tak więc sądzę, że będą wielkie kłopoty i burze w krajach Europy Wschodniej, ponieważ władza będzie mówiła coraz więcej o reformowaniu i demokratyzacji ale to będzie tylko lipa - ani prawdziwe reformy, ani prawdziwa demokracja. Teraz mówi się wiele o systemie wielopartyjnym itd., ale nie sądzę, aby to był prawdziwy wielopartyjny system. To tylko manipulacja.

- Czy widzi Pan szanse i możliwości współdziałania ugrupowań niepodległościowych w naszych krajach? Czy nie uważa Pan, że słusne byłoby wypracowanie wspólnych żądań wobec Związku Sowieckiego - swoistego testu na pieriestrojkę?

- Tak, oczywiście że widzę możliwość, tymbardziej, że współpraca taka faktycznie istnieje już od dłuższego czasu. Inna sprawa, czy jest ona rzeczywiście wystarczająca na tym poziomie, na którym istnieje. Jak wygląda współpraca pomiędzy polską i czechosłowacką opozycją, to wie pani lepiej niż ja - są w kontakcie od dłuższego już czasu. Węgrzy w ostatnich dwóch latach mają więcej kontaktów niż przedtem. Na przykład delegacja węgierska była na konferencji w Krakowie i właśnie usłyszałem o udziale delegacji węgierskiej w grudniowej konferencji w Polsce. Oczywiście wewnątrz krajów ruch niezależny jest tak różnorodny i swobodny, że i na poziomie międzynarodowym mogłyby być bardziej rozwinięty. Cóż, nie sądzę jednak, żebyśmy w najbliższym czasie ujrzeli jakies wielkie efekty, ponieważ tylko może w Polsce opozycja jest naprawdę silna i jest istotnym elementem w życiu narodu. W innych krajach komunistycznych jest ona o wiele słabsza, tak że sama o sobie nie może za bardzo decydować. Ale mam nadzieję, że te kontakty prędzej czy później się zwiększą i będzie to koniec rosyjskich kolonii - jeśli będzie to naprawdę wspólne działanie.

Istnieją również pewne czynniki hamujące rozwój tych kontaktów. Jest to mianowicie rodzaj nacjonalizmu rozwijającego się w krajach Europy Wschodniej. Istnieje poważny problem pomiędzy Węgrami a Rumunami, podobnie pomiędzy Węgrami a Słowakami, choć były też sprawy, które łączyły - na przykład słowaccy obrońcy środowiska protestowali przeciwko budowie tamy na Węgrzech. Tak więc wszystko może się zdarzyć i pewne jest, że jeżeli porównamy sytuację dzisiejszą z okresem z przed dziesięciu lat to internacjonalizm i solidarność międzynarodowa ruchów niezależnych w Europie Wschodniej bardzo wzrosła i sądzę, że kontakty te będą się polepszały i będą bardziej efektywne.

Prawdopodobnie dobrze by było zorganizować jakieś wspólne akcje, w których wszyscy mogliby wziąć udział, a więc nie tylko deklaracje, bo to jest już troszkę nudne, gdy na jednej stronie podpisuje się to czego żąda się na następnych dziesięciu stronach, ale może zorganizowanie wspólnego solidarnościowego Dnia Wolności Wschodniej Europy czy zorganizowanie demonstracji. Może coś w tym rodzaju, ja tu nie mam prawa dawać żadnych sugestii, ale jest wiele rzeczy, które mogą dać okazję do wspólnych akcji. Myślę bowiem, że tak jak to już od dłuższego czasu ma miejsce w Polsce, nadszedł czas i w innych krajach Europy Wschodniej na akcje uliczne, nie tylko na deklaracje i wydawanie samizdatów, ale na prawdziwe życie polityczne.

- Czy widzi Pan jakąkolwiek szansę, że jak to my nazywamy "peizający konflikt regionalny w Naszej Europie" dotrze do świadomości Zachodu?

- Nie jestem pewien, czy dokładnie zrozumiałem pytanie. Nie jestem też ekspertem gdyż żyję wśród ludzi Zachodu zaledwie od dwóch i pół roku, ale jeśli ma pani na myśli jak oni widzą cały wschodnio-europejski kryzys, to sądzę, że panuje tu trochę stereotypów. W ciągu ostatnich dwóch lat, co mogę zauważyć, coraz więcej i więcej jest artykułów o Wschodniej Europie, programów telewizyjnych i filmów. Szczególnie w telewizji są to jednak zawsze stereotypy. A więc można zobaczyć coś o komunizmie, głównie z czasów stalinowskich - pochody, procesy polityczne, przemówienia komunistów i potem ktoś, kto jest ogniskiem odnowy.

Tak więc sądzę, że Zachód nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo skomplikowany, jak bardzo wyrafinowany jest rozwój sytuacji w Europie Wschodniej. Tu jest bardzo dużo uproszczeń i wulgaryzacji: po jednej stronie komuniści, a po drugiej demokracja, no i że teraz, zgodnie z tym stereotypem, Europa Wschodnia wolno postępuje ku demokratycznej. A obecnie jest to wykorzystywane przez komunistów znacznie bardziej niż kiedyś. Na Węgrzech na przykład, co chwilę przytacza się prasę zachodnią, gdzie dziennikarz, pisząc o systemie wielopartyjnym, nie rozumie jednak co to znaczy, nie pojmuje, że jest to znów skierowane przeciwko demokratyzacji. Podobnie o oddzieleniu funkcji prezesa rady ministrów od funkcji sekretarza partii - no to już jest naprawdę "wielką" zmianą. Czy wreszcie o wejściu zachodnich kapitałów na rynek komunistyczny - nie sposób powiedzieć, na ile to dobre na ile nie, szczególnie z punktu widzenia węgierskich robotników. Nie jestem przeciwko temu, ale to nie jest takie pewne, czy jest to zjawisko pozytywne. W jakimś sensie, można powiedzieć, że po wyprzedaniu wszystkiego co mogli, wyprzedali jeszcze węgierski przemysł - skarb kraju.

Albo na przykład - węgierscy liderzy robią takie małe ale sprytne posunięcia, jak wycofanie wojsk radzieckich z Węgier. Zachodnie gazety są pełne entuzjastycznych artykułów na ten temat. Tak więc oni zupełnie nie rozumieją, co tu jest naprawdę grane. Chcą widzieć, że był komunizm typu stalinowskiego, potem okres jedyne go mistrza Kadara - Breżniewa, paternalistyczny absolutyzm, a teraz mamy trzeci okres, który określiłbym jako występy iluzjonisty. Oni ciągle coś wymyślają i wynajdują, chcą oszukać cały świat, samych siebie i członków swojego własnego narodu. Ten ostatni model bardzo nadaje się do tworzenia setek różnych organizacji i bardzo trudno będzie dostrzec, która z nich jest partią prostytucyjną, a która nową. Swoboda manewru nie będzie duża z powodu wielkiego nacisku ze strony władzy na manipulowanie tymi organizacjami. Mam jednak nadzieję, że niektóre z nich przetrwają. Oczywiście teraz nie jest tak prosto powiedzieć, co czarne a co białe. Jest kilku polityków i kilka ruchów, które bardzo trudno jest skategoryzować. Tak więc, w jakimś sensie, będzie to marsz w stronę bardziej politycznego życia, ale to polityczne życie w Europie Wschodniej nie jest takie samo jak w krajach zachodnich i ludzie z Zachodu tego nigdy nie rozumieją. Nawet jeśli niektórzy byli tu osobiście i coś widzieli, to też nie bardzo mogą to zrozumieć, bo są wtedy pod wrażeniem, że na przykład demonstracja nie jest rozpędzana, a więc jest demokratyzacja... i tak dalej, te wszystkie stereotypy, a to przecież nic nie znaczy, bo na następnego dnia mogą być użyte armatki wodne. Tak że ja nie wierzę w zrozumienie Zachodu.

- Jak ocenia Pan dziesięć lat pontyfikatu Papieża Polaka z perspektywy "Naszej Europy"?

- Myślę, że nie śledziłem z uwagą zbyt dokładnie Jego działalności, więc nie mogę wiele powiedzieć. Jedno jest pewne - fakt, iż jest Polakiem jest bardzo pożyteczny dla Polski i dla Europy Wschodniej. Dał wiele wsparcia odwiedzając Polskę, zrobił wiele, by problem wschodnio-europejski został zauważony. Także jego działalność jako "Turysty" daje nowy blask chrześcijaństwu.

Z drugiej strony sądzę, że On równoważy wszystkie te rezultaty przez swoje niemądre i reakcyjne stanowisko jeśli chodzi o przerywanie ciąży i kontrolę urodzin, które jest, jak sądzę, nie tylko nie do przyjęcia, ale nawet może spowodować, że ci wierzący, którzy z drugiej strony chcieliby pozostać członkami Kościoła, mogą obrócić się przeciwko Kościołowi. Tak więc działalność Papieża może szybko stać się niebezpieczna. Myślę, że byłoby dobrze, gdyby był choć trochę bardziej postępowy i wyrozumiały. Nie sądzę, żeby te zakazy pochodziły z Biblii.

- Czy sądzi Pan, że za życia naszego pokolenia nasze kraje mają szanse wybicia się na niepodległość?

- Pyta pani, czy za naszego życia ujrzymy niepodległe kraje Europy Wschodniej. Tu jest jedna wielka różnica, ja mam 56 lat a pani jest, myślę, o kilka dekad młodsza. Oczywiście, nie jestem pewien, czy ja zobaczę prawdziwą niezależność naszych krajów, ale być może ludzie młodszy tak. Ale jak do tego dojdzie, to bardzo trudno powiedzieć. Kiedyś myślałem /nawet kilka lat temu/, że dojdzie do tego poprzez węgierską rewolucję. że będzie rewolucja, że potem w innych krajach, że dwa trzy kraje równocześnie wystąpią razem, nie tak jak to było w 56-tym, a Rosjanie - nie mówię, że nie będą mieli dość siły, żeby przeszkodzić, ale będą w sytuacji, że nie będą chcieli robić wielkiej wojny w Europie Wschodniej.

Teraz bardziej prawdopodobne wydaje się, że nastąpią restrykcje w tych krajach w których pozwolili na więcej, bo nie jest to prawdziwa niezależność. Co z tego wyniknie? Nawet teraz myślę, że w końcu będzie rewolucja, ponieważ bardzo trudno sobie wyobrazić, że Ameryka będzie na tyle sprytna, żeby zapłacić za te kraje, gdyż wszystko można kupić od Związku Sowieckiego. Jeśli jednak zapłaci za te kraje i zainwestuje w wolność Europy Wschodniej, to stanie się ona neutralna. Ale nie sądzę, żeby zachodni politycy byli na tyle sprytni i dlatego uważam, że liberalizacja, ten proces odchodzenia od centralizacji będzie coraz silniejszy, aż w którymś punkcie zostanie zahamowany. Szczególnie jeśli w ZSRR zajdą zmiany we władzach i życiu politycznym.

W ciągu dwóch trzech lat przed węgierską rewolucją miały miejsce najszybsze zmiany - po śmierci Stalina liberalna linia polityczna, potem to się zmieniło i Malenkov został odsunięty od władzy, potem przyszedł XX Zjazd - to wszystko miało rezultaty w węgierskiej polityce. Jeśli zdarzy się coś takiego, że co pół roku władza będzie się zmieniała, to wtedy wielka część mas zacznie brać udział w życiu politycznym, co przerodzić się może w masowy ruch. Narazie na Węgrzech, mimo że ma się doczynienia z wielkim obniżeniem standardu życia, nie widzę warunków na wielki prawdziwy ruch masowy. Jest na to zbyt wcześnie, ale mam nadzieję, że pojawi się on za kilka lat.

- Czy widzi Pan szanse zinstytucjonalizowania współpracy niepodległościowych ruchów w naszych krajach?

- Gdyby te kontakty przeszły do sprecyzowanego poziomu, to utworzenie form zorganizowanych byłoby bezdyskusyjne. Ale myślę, że nie najważniejsze jest stworzenie instytucji. Bardzo łatwo jest tworzyć komitety, partie i wspólne deklaracje, ale to jeszcze nic nie znaczy, jeśli za tym nic nie ma. Właściwie w krajach zachodnich jest wiele takich wspólnych wschodnio-europejskich instytucji. Mógłbym wymienić z dziesięć z nich. Właśnie wczoraj otrzymałem pismo - nie wiem, czy pani pokazywałem, że teraz 10 grudnia będzie w Westminster Abbey zjazd Niepodległości Wschodniej Europy, w którym wezmą udział, z polskiej strony minister spraw zagranicznych Rządu Emigracyjnego, a ze strony węgierskiej pan Szakay, który jest liderem "BOJOWNIKA O WOLNOŚĆ". Nie chcę tu nic mówić na temat udziału strony polskiej. Mogę i chcę powiedzieć o "BOJOWNIKU". Oni nie robią nic, wydają tylko papiery. To jest tak, że jest ze dwudziestu sponsorów z różnych krajów, ale nie mają poza tym żadnych kontaktów z nikim kto żyje w środku w tych krajach. Jeśli chodzi o Węgry, to mają jakieś pieniądze, wymyślili jakieś emblematy i flagi. Tak więc to nie jest zbyt trudne, jeśli ktoś ma pieniądze, ale trudniej tchnąć w to życie.

Ale myślę, że wkrótce zaistnieją jakieś prawdziwe formy zinstytucjonalizowania tych kontaktów. Teraz na przykład istnieje Polsko-Czechosłowacki Komitet Solidarnościowy i myślę, że Węgrzy się do tego przyłączyli - tzn. jakaś mała grupa Węgrów się do tego przyłączyła, kilka miesięcy temu dostałem w tej sprawie deklarację. Bardzo korzystne było kilka miesięcy temu ukazanie się dwujęzycznej polsko-węgierskiej ulotki, rozpowszechnianej na Węgrzech głoszącej, że to rocznica ostatniej w tym wieku demokratycznej rewolucji, i że jest to wspólne święto dla obydwu narodów. To jest bardzo zachęcające, to są pierwsze oznaki, że będzie

dobra współpraca. Podobnie inne sprawy, jak protesty sumienia. Węgrzy pojechali do Polski, aby wziąć udział w strajku głodowym, między innymi Tibor Pákh i Olga Diószegi, tak samo myślę, że Polacy przyjadą wziąć udział w ruchach na Węgrzech. Przypominałoby to rok 1956, kiedy młodzi Polacy nawet ginęli w walce o wolność Węgier.

- Czy widzi jakieś rozwiązanie dla Siedmiogrodu?

- Problem Siedmiogrodu jest naprawdę nie do rozwiązania. Naprawdę nie ma, nie mogę znaleźć żadnych propozycji. Myślę, że mniej więcej znany jest fakt, iż w Siedmiogrodzie jest większość Rumunów, ale nawet w przybliżeniu jest tam mniej więcej dwa miliony Węgrów. Mówię w przybliżeniu, bo po tych wstrząsach i po metodach Ceaușescu bardzo trudno jest powiedzieć, jak wielu ich jest naprawdę. Węgierscy nacjonałiści twierdzą, że dwa i pół miliona, Rumuni oficjalnie podają 1,10 mln, tak że myślę, iż te 2 mln to jest właściwa liczba. To co sprawia, że problem ten jest tak trudny to fakt, że część Węgrów mieszka bardzo blisko węgierskiej granicy, oddzielona od narodu w wyniku paktu pokojowego, ponieważ Węgry przegrały wojnę, dwie wojny. Ale druga część Węgrów mieszka nieco dalej od granicy i między nimi są Rumuni. To co mówię było aktualne przez kilka dekad, bowiem teraz oni byli tyle razy przemieszczani, że sytuacja się zmieniła.

Jak wiadomo, Siedmiogród był zawsze częścią Węgiei, przez tysiąc lat, był też czas kiedy był niezależny, ale nigdy nie należał do Rumunii, dopiero w naszym stuleciu po I wojnie światowej. Nie mogę zaprzeczyć, iż Węgrzy zawsze czują, że Siedmiogród należy do nich, ale nie mogę też zaprzeczyć, iż Rumuni mogą również czuć i próbować to udowodnić, że Siedmiogród należy do nich, ponieważ oni zawsze tam byli. przynajmniej przez ostatnie 600 lat. Co do osiedlenia się Węgrów przed tysiącleciem, to Rumuni twierdzą, że już tam byli wtedy, a Węgrzy, że Rumuni przybyli 400 lat później - trudno to rozstrzygnąć. Oni mówią, że było węgierskie zagrożenie, ale oni zawsze byli większością. Tak więc problem ten teoretycznie mógłby być rozwiązany w dwojaki sposób: albo oddzielny Siedmiogród, tak jak to było paraset lat temu, kiedy był księstwem zależnym od Turcji. To był bardzo dobry dla Siedmiogrodu okres.

Ale nie widzę żadnych praktycznych możliwości, że znajdzie się ktoś, kto z tym wystąpi w obecnej sytuacji międzynarodowej. Drugie wyjście, które jest może bardziej prawdopodobne, to rodzaj urealnienia granic, podobny do tego, które zaistniało podczas drugiej wojny światowej w wyniku arbitrażu włosko-niemieckiego. Ale po drugiej wojnie światowej Rumunia odebrała z powrotem węgierską część Siedmiogrodu. Ale w końcu nie był to taki zły układ. Pewna część Rumunów znalazła się pod panowaniem węgierskim, tak jak pewna część Węgrów pod rumuńskim. I w ten sposób obydwie strony były nieco bardziej związane. Oczywiście to jest bardzo mało prawdopodobne, żeby granice z drugiej wojny światowej mogły być zmienione. W tej sytuacji mogę tylko zaproponować utopijne rozwiązanie, ale to jest jedyna droga. Jeżeli powstanie zjednoczona Europa, co jest już bardzo bliskie w Europie Zachodniej, i jeśli te same reguły byłyby stosowane w Europie Wschodniej, to cały problem by zniknął, ponieważ nie byłoby problemu granic i byłby wspólny wschodni rynek.

Ale z drugiej strony jest to jeszcze bardzo daleka przyszłość, ponieważ w krajach pod panowaniem Rosji, uczucia patriotyczne i narodowe są znacznie silniejsze niż na Zachodzie i to jest całkiem zrozumiałe i normalne. A jeszcze w takiej sytuacji uzewnętrznia się najlepsza strona nacjonalizmu, szczególnie tam, gdzie ma prawdziwe podłoże. Przecież Węgrzy w Rumunii mają naprawdę ciężkie życie - bardziej niż sami Rumuni, którym też zresztą jest ciężko. Teraz ludzie na Węgrzech wiedzą, że wszystko jest przeciwko Węgrom, co nie całkiem jest prawdą, ale częściowo na pewno tak. Problem Siedmiogrodu jest więc na Węgrzech głównym, centralnym problemem.

Jest tu jeszcze inne niebezpieczeństwo, że władza może go wykorzystać do manipulacji, do skanalizowania problemów socjalnych i przekształcenia nastrojów rewolucyjnych w nienawiść do Rumunów. Ceaușescu ma też w tym swój udział. Myślę, że zawdzięczamy to Rosji, że węgierski rząd komunistyczny nie wykorzystał tego

bardziej dla uwiarygodnienia się w oczach narodu. Oni już zaczęli to robić, ale dostali upomnienie z Rosji. Pan Gorbaczow ma również problemy z narodowymi mniejszościami. Ale przyjdzie moment, w którym węgierski prawdziwy internacjonalizm weźmie górę. Dwa tygodnie temu, 15 listopada, w pierwszą rocznicę wypadków w Brassò, węgierska policja interweniowała bardzo brutalnie podczas bardzo spokojnej, pokojowej demonstracji na rzecz nie tylko Węgrów, ale wszystkich ludzi pod panowaniem Ceauşescu. Tak więc może się zdarzyć, że węgierski rząd komunistyczny będzie zezwalał na takie uczucia, a nawet zabawiał się w nacjonalizm. Nacjonalizm jest niebezpieczny, zwłaszcza teraz, gdy na Węgrzech jest mniej więcej 30 tysięcy uchodźców z Rumunii. I cała sytuacja jest bardzo delikatna. Niektórzy z nich są odsyłani z powrotem przez Węgrów do Rumunii. Wszystkie niezależne ruchy potępiły to. Władze podają te same, pełne hipokryzji, powody jak w krajach zachodnich, mówiąc, że ludzie ci nie są uchodźcami z powodów politycznych, ale że chcą tylko znaleźć lepsze życie, i że nie dostaną żadnego azylu. Na Węgrzech nie ma azylu dla obywateli innych krajów socjalistycznych, ale trzeba mieć pozwolenie na pozostanie. Czasami władze węgierskie stosują czarną listę, na przykład w stosunku do uchodźców rumuńskiej narodowości. Większość uchodźców jest narodowości węgierskiej, ale są także Rumuni z niezależnego ruchu o nazwie Wolna Rumunia /Libera Romania/. Byli oni wzywani na milicję, gdzie powiedziano im, że mogą być odesłani z powrotem do Rumunii, jeśli wezmą udział w demonstracji, która jest kłopotliwa dla rządu węgierskiego. I przywódcy takich demonstracji zostali odesłani - szczęśliwie nie do Rumunii, ale Parwu, który był przywódcą Wolnej Rumunii, został wydalony do Danii. Tak więc to jest stały problem.

Myślę, że na Węgrzech są trzy bardzo ważne problemy, nie tylko prawa człowieka, które są na pierwszym planie dla opozycji, a które są dopiero trzecim z tych problemów. Myślę, że pierwszym z nich jest drastycznie i coraz bardziej obniżający się poziom życia oraz inflacja, która w ciągu roku sięgnęła co najmniej 25%. W styczniu będzie znów podwyżka cen o około 40%. I to jest pierwszy problem, drugi to Siedmiogród, a dopiero trzeci to prawa człowieka.

- Czy w takiej trudnej sytuacji, w jakiej Węgrzy sami są teraz, nie odnoszą się oni z niechęcią do uchodźców z Rumunii?

- Być może więcej wiedz ci, którzy byli sami na Węgrzech w ciągu ostatnich dwóch lat. Mnie się wydaje, bo rozmawiałem z uchodźcami przez telefon, że węgierski rząd zachowuje się w ten sposób, że rozmawia z nimi jakby byli Rumunami, a więc czego tu chcą gdy Węgrzy same mają tyle problemów, ale to jest podejście policji. Węgierskie społeczeństwo wydaje się być bardzo solidarne, nawet jeśli jest trochę osób, które myślą inaczej, to solidarność z uchodźcami jest silniejsza. Inna sprawa to sytuacja ludzi o rumuńskiej narodowości, bo rząd udziela im znacznie mniej pomocy niż węgierskiej większości, której też nie pomaga zbyt wiele, ale dla Rumunów nie robi prawie nic. Cóż, rodzinie węgierskiej można wytłumaczyć, żeby oddała połowę miejsca dla węgierskich uchodźców, ale nie dla Rumunów.

I jest jeszcze jeden wielki problem - Cyganie. Spora liczba Cyganów przybyła z Rumunii na Węgry. Musieli oni opuścić Rumunię, gdyż mówią po węgiersku, tak więc w Rumunii są uważani za Węgrów, a na Węgrzech uważają ich za Cyganów i nikt im nie pomaga. Tak że oni nie dostają nic ani od społeczeństwa, gdzie panują głupie antycygańskie nastroje /które mają oczywiście jakieś podstawy, tak jak to było w stosunku do Murzynów w USA/, ale to jest bardzo niedobre, ani od władz. Ludzie ci są więc w desperackiej sytuacji i niektórzy cygańscy przedstawiciele, wykorzystując węgierską nową głośność, apelują do węgierskich Cyganów o pomoc.

- Jak przedstawia się panorama węgierskiej opozycji na tle obecnej sytuacji na Węgrzech? Jak ocenia Pan szanse i możliwości uwolnienia się węgierskiej opozycji spod kurateli komunistów?

- Opozycja - to najczęściej zadawane mi pytanie. Zawsze widziałem opozycję jako znacznie liczniejszą niż oficjalnie była zauważana. Po 1956 roku cały kraj był w opozycji, nawet jeśli była ona milcząca lub był to kompromis z władzą i ludzie nawet zaakceptowali pewne rzeczy, bo nie mogli nic zrobić, nawet wtedy w jakiś sposób byli oni w opozycji. Ci ludzie, ci opozycjoniści, których zauważamy, to tylko szczyt góry lodowej, nawet nie jestem pewien, czy to są prawdziwi ludzie opozycji. Nie chcę jednak tu teraz w to wnikać, zostawmy to.

Opozycja jako grupa pojawiła się niezbyt dawno, jakieś dziesięć lat temu, nawet później. Zwykle zaczynamy liczyć od 1979 roku, kiedy to miało miejsce pierwsze zbieranie podpisów na rzecz ludzi z czeskiej Karty 77. Od początku w tej opozycji były różne trendy. Najbardziej znani są ludzie skupieni wokół pisma "BESZELÖ", teraz oni nazywają siebie inaczej, ale nawet teraz oni są uważani za główny nurt opozycyjny. Ja bym nie powiedział, że to główny nurt, ale za takich ich się uważa, są najbardziej znani i zawsze to oni występują, oni są pytani, oni udzielają odpowiedzi i w jakiś sposób oni decydują o strategii i taktyce opozycji. Ale myślę, że inni ludzie, którzy brali udział w opozycji, są równie ważni. Oni są znacznie gorsi w mówieniu, w pisaniu artykułów, oni nie znają obcych języków, są w znacznie gorszej sytuacji, nie mogą się razem zebrać, a więc nie mogą uczynić swego głosu bardziej donośnym, ale oni zawsze robili więcej niż inni. Być może jestem trochę subiektywny w tym względzie.

Myślę, że ta pierwsza grupa, nazwijmy ją "BESZELÖ", zyskała swoją wielką szansę, stosując taktykę bolszewików, to znaczy: zebrali się razem - tylko pięciu ludzi, ale oni zdecydowali co robić i jak robić i mają jeszcze, nazwijmy to "partyjną" w cudzysłowie, dyscyplinę. Są inteligentni, robią bardzo dobre pismo, nawiązują bardzo dobre kontakty z zachodnimi politykami i pismami, tak że są prawdziwym czynnikiem w życiu politycznym, nawet jeśli są bardzo nieliczni, ale w ten sam sposób jak komuniści - nie mówię o tych dzisiejszych, ale wczesniejszych i czasami osiągają znakomite efekty. Ale mają jeden problem, kogo wybrać jako obiekt swojej propagandy. Wtedy kiedy zaczynali, wydawało się, że to mają być robotnicy i radykalni studenci. Obecnie wydaje się jednak, że zmienili swoich odbiorców, ludzi na których chcieliby oddziaływać teraz to: inteligencja, technokracja, ekonomiści, ludzie wolnych zawodów. Tylko że w ciągu ostatnich dziesięciu lat w ruchach politycznych brali udział też robotnicy, studenci, młodzi ludzie, których trudno zaklasyfikować, do której grupy należą, gdyż czasami zajmowali się pracą intelektualną a czasami fizyczną. Mogły więc powstać różne kontrowersje szczególnie jeśli nigdy nie wiadomo, jaki będzie następny krok tej grupy. Ja nie chcę tu nic mówić przeciwko nim, ponieważ przy tym wszystkim to oni dali podstawy kultury politycznej przede wszystkim dobrymi radykalnymi artykułami w piśmie nie lubianym przez władze, a jednak przez 8 lat się ukazującym.

Ale muszę też powiedzieć, że nie jest to demokratyczny sposób organizowania ruchu i podejmowania decyzji o tym co robić. Wszyscy wiedzieli jak jest, ale się o tym nie mówiło, później było kilka debat na ten temat, a w ostatnim roku ludzie ci kilka tygodni temu zrobili coś, co chce być partią. To się teraz nazywa Związek Wolnych Demokratów. Jest to ta sama grupa ludzi - nie chcę tu teraz wnikać w szczegóły, ale przedtem to była Sieć Wolnych Inicjatyw. Oficjalnie miała ona stanowić koordynację pomiędzy ruchami niezależnymi, ale to nie zdało egzaminu, ponieważ inne ruchy nie chciały mieć żadnego koordynującego ciała. Stało się bardziej jasne, że jest to tylko rodzaj pewnego kamuflażu dla demokratycznej opozycji. Oni zawsze temu zaprzeczali, ale teraz w momencie, w którym przekształcili "Sieć Wolnych Inicjatyw" i stali się Związkiem "Wolnych Demokratów", całkiem jasno wiedzieli, że była to tylko osłona dla ich działalności.

Węgierska opozycja ma obecnie inny, nowy problem. Jest nim głośność na Węgrzech. Każdy może robić co chce. Być może, zanim zostanie opublikowane to co mówię, przestanie być prawdą, bo sytuacja się zmieni, to może się zmienić z dnia na dzień. Ale jak narazie każdy robi co chce. Jest wiele małych, ale to

naprawdę małych i nie znaczących wiele organizacji. Jest ich tyle i tak różnych, że nie umiem podać ich dokładnej liczby, ale przestałem liczyć, gdy doszedłem do czterdziestu, co na Węgrzech jest naprawdę wielką liczbą. I to jest całkiem nowe, gdyż przedtem było jasne kto jest w opozycji a kto nie. Teraz w opozycji są też i inne grupy i niewiadomo jeszcze, czy mają jakieś znaczenie. Być może nie wyrażam się zbyt jasno, ale chodzi o to, że przez jakieś dziesięć lat opozycja miała całkiem jasne polityczne cele, to znaczy większy pluralizm i prawa człowieka. A teraz jest też wiele innych spraw.

Istnieją na przykład obrońcy środowiska naturalnego, którzy są też politycznie zorientowani, ukierunkowani, ale nie tak bardzo, albo na przykład obrońcy spraw sumienia. Wiem, że są też katolickie wspólnoty - mniej więcej dwa tysiące - oni są bardzo silni. Jest wiele klubów o różnego rodzaju działalności, czasami politycznej, ale nie zawsze. Jest też wiele organizacji stwarzanych przez władzę, żeby manipulować i podzielić opozycję. Tak więc opozycja obejmuje teraz wiele ruchów, które po pewnym czasie, jeśli nie będzie większych zmian, połączą się w grupę, której celem będzie kompromis z władzą. Możemy właśnie zobaczyć jedną z nich, to znaczy Forum Demokratyczne. Swoją wielką aktywność rozpoczęło zaledwie rok temu i teraz właśnie dostało zielone światło. Jest całkiem możliwe, że pozwoli mu na zrobienie z siebie partii politycznej. Nie jestem jednak pewien, czy opozycyjnej. Nie wiem. Może się i tak zdarzyć, że pewne grupy zaczną szukać dla siebie miejsca w parlamencie, uważając że to jest ważne i potrzebne, żeby w parlamencie byli ludzie, którzy mogliby wypowiadać się w sprawie demokracji. Oczywiście oni mogą mieć rację, ale oczywiście muszą zapłacić za to cenę.

Z drugiej strony pewne jest, że niektóre grupy pozostaną w opozycji i nie będą chciały mieć nic wspólnego z władzą. Właśnie teraz jest nowa grupa, która nie mogę powiedzieć, że jest bardzo silna, ale jest bardzo ważna - to krąg republikanów. Opublikowali swoją deklarację i właśnie tydzień temu mieli swoje spotkanie. I druga ważna grupa FIDESZ - skupia ona młodą demokrację. Są też tam grupy robotników, które są bardziej radykalne, mimo że FIDESZ sam w sobie jest radykalny i jedna z nich ogłosiła, że chciałaby utworzyć oddzielną, niezależną partię robotniczą. Nie wiem, czy będą w stanie to zrobić, obawiam się, że nie są na tyle silni. FIDESZ to bardzo interesujący ruch, wydaje się, że oni są bardzo szczerzy, aktywni, radykalni i jasno i otwarcie wypowiadają, czego chcą. Swoją działalność rozpoczęli dopiero w tym roku - 1 kwietnia. Skupiają młodych demokratów, jak sama nazwa /Związek Młodych Demokratów/ wskazuje i powiedzieli, że nie przyjmują na członka nikogo, kto jest członkiem komunistycznej organizacji. Tak, oni są bardzo odważni, była też presja policji przeciwko nim. Teraz stali się członkami zorganizowanej przez rząd Węgierskiej Rady Organizacji Młodzieżowych. Była wśród nich wielka dyskusja, czy przyjmując członkostwo w tej organizacji, stworzonej w celach manipulatorskich. Członkowie FIDESZ, po dyskusji, przeprowadzili głosowanie, w którym większość wypowiedziała się za przystąpieniem, gdyż w ten sposób będą mieli szansę uczynić swój głos donośniejszym. Postawili przy tym warunki, między innymi prawo weta, a także, że będzie to forum a nie organizacja, która będzie decydować, co inni mają robić. Wydaje się, że oni działają bardzo dobrze i że będą coraz mocniejsi.

Wracając do pytania, czy węgierska opozycja uwolni się spod kurateli komunistów, muszę tu powiedzieć, że część opozycji weźmie udział w działaniach władzy tej liberalnej, demokratycznej jej części, a druga część pozostanie w opozycji. Nie wiem jakimi metodami do tego dojdzie, sądzę, że raczej za pomocą manipulacji i propagandy.

Pewne rzeczy zostały opozycji jakby odebrane - na przykład samizdat, który przedtem był główną działalnością, teraz prawie zniknął. Wszystko można publikować. Oczywiście czasopisma są zawsze potrzebne, ale książki? Wiele książek opublikowanych w samizdacie wydaje się teraz oficjalnie. To będzie naprawdę bardzo interesujący okres,

Ale nie mówiliśmy jeszcze o innej kwestii, a mianowicie o masach. Nikt nie dba, nie interesuje się masami. Muszę powiedzieć, że nawet w części opozycji niektórzy bardziej walczą o władzę niż interesują się ludźmi. Wiadomo, co się

dzieje w parlamencie, w Komitecie Centralnym, o demonstracjach na ulicach, ale co się dzieje w fabrykach - nikt nie wie. I to mi przypomina 1956 rok, kiedy to przed rewolucją nikt nie interesował się robotnikami ani tym, co dzieje się w fabrykach. W tym roku były pierwsze strajki na Węgrzech w kopalniach. Nie były to wielkie strajki, ale pierwsze i być może właśnie ten nieznaną czynnik będzie decydujący dla historii Węgier. Ludzie obudzili się i oczywiście trudno będzie wepchnąć ich z powrotem w system. Obudzili się nie tylko z powodu działalności opozycyjnych grup, do tej pory mianowicie istniał pewien kompromis z władzą. Społeczeństwo nie mieszało się do polityki za cenę spokoju i odpowiedniego standardu życia. Ale teraz nie ma spokojnego życia i standard obniżył się i jest już nowe pokolenie, które nie zawierało tego kompromisu. Tak więc są wielkie zmiany. I myślę, że tak jak w Polsce przed 1980 rokiem, kiedy Wałęsa był nieznaną, tak samo teraz na Węgrzech jest ktoś, kogo imienia nie znamy, kto będzie o wiele bardziej ważny niż wszystkie niezależne i demokratyczne ruchy, o których wiemy. Te intelektualne grupy i ruchy są bardzo potrzebne, one przygotowują do czegoś, kształcą świadomość i polityczne myślenie. Ale przede wszystkim trzeba, żeby to one pracowały dla ludzi, a nie ludzie dla nich, ludzie są ważniejsi i mądrzejsi i to ludzie mogą zdziałać więcej. Jeśli nie biorą teraz udziału w życiu politycznym, to dlatego, że wiedzą, że to nie jest prawdziwe życie polityczne, a tylko manipulacja. Niezależne ruchy są, mogą działać, dyskutować, ale to nie zmieni niczego. Teraz jest nowa metoda, można mówić co się chce, robić co się chce, setki, tysiące ludzi może demonstrować. A naprawdę ważną rzeczą jest jedynie - tylko nie wiem, czy opozycja jest na tyle sprytna, by to zauważyć - walka o wolne wybory, walka o prawo do wolnych wyborów. Gdyby parlament był wybrany w sposób demokratyczny, to wiele problemów byłoby rozwiązanych. Oczywiście nie jestem głupi, by sądzić - to znaczy może jestem głupi, ale nie sądzę, żeby władza się na to zgodziła, ale to jest prawdziwa rzecz, o którą cała opozycja, wszystkie grupy powinny walczyć - o demokratyczne prawo wyborcze do parlamentu. Być może władza o tym wie i pozwala walczyć o inne szczegółowsze problemy, które są ważne i których nie rozwiąże samo prawo do wolnych wyborów, ale które mogą przesłonić problem najważniejszy i odwrócić uwagę od walki o rzecz zasadniczą.

Jesień 1988r.

tłumaczyła z angielskiego i opracowała:

BIEDRONKA

GYÖRGY KRASSÓ

Urodził się w 1932 roku. Mając 15 lat wstąpił do Węgierskiej Partii Komunistycznej, a jego artykuły ukazywały się w młodzieżowych pismach "SZABAD NÉP" /"WOLNY LUD"/ i "TAKSADALMI SZEMELE" /"PRZEGLĄD SPOŁECZNY"/. W 1949r. porzucił gimnazjum i poszedł kształcić się na wykwalifikowanego robotnika do zakładów wyrobów żelaznych i metalowych im. Mátýósa Rákosiiego, gdzie stale popadał w konflikty z kierownictwem zakładu nie aprobując realizowanego socjalizmu. Zdał egzamin na tokarza, w wieczorowej szkole średniej zdał maturę i wstąpił do Wyższej Szkoły Ekonomicznej. W styczniu 1953r. wyrzucono go z partii z powodu szerzenia "destruktywnych i politycznie opozycyjnych" poglądów i przeciwstawiania się kulturalnej polityce partii, a w kwietniu 1955r. wyrzucono go także ze szkoły wyższej.

W czasie rewolucji 1956 r. brał czynny udział w walkach zbrojnych. Jego artykuł ukazał się w ówczesnym piśmie "MAGYAR JÖVŐ" /"PRZYSZŁOŚĆ WĘGRÓW"/ 3 listopada 1956 roku. Później, po 4 listopada /czyli po drugiej interwencji sowieckiej/ powielał i kolportował nielegalne pisma i ulotki. Skazano go na 10 lat więzienia, z czego 7 odsiedział - wypuszczono go w 1963r. /amnestia na Węgrzech/. Nie dostał żadnej pracy jako pracownik uniwersytetu. Parę miesięcy pracował jako tokarz, a później jako dokumentator w tym samym zakładzie pracy. Jeszcze w 1963r. ponownie oskarżono go o podburzanie. Pół roku przetrzymywano go w areszcie tymczasowym, w końcu został zwolniony. W latach 1964-1968 pracował jako robotnik w fabryce "Lampart", później również tam jako tłumacz i referent do spraw pomysłów racjonalizatorskich. W 1969r. znów stanął przed sądem, tym razem z oskarżenia o przeciwstawianiu się siłą organom władzy. Udowodnił, że świadkowie byli fałszywi i zwolniono go. W 1970r.

ponownie wszczęto przeciwko niemu postępowanie karne, do procesu nie doszło, ale stracił pracę. W 1971r. z powodu choroby obniżono mu kategorię zdrowia.

W latach 1974-1976 po dziesięcioletnim bezskutecznym składaniu podań ukończył uniwersytet jako słuchacz wieczorowy i zaraz też uzyskał doktorat. Jest aktywnym członkiem opozycji. On był pierwszym, który w swoich licznych i otwartych wspomnieniach mówił o roku 1956 jak o demokratycznej i narodowej rewolucji. Przetłumaczył z angielskiego i opracował, uzupełniając szczegółowymi przypisaniami, książkę Billi Lomexa "Hungary 1956". Wydano ją na Węgrzech w samizdacie oraz w paryskich "MAGYAR FUZETEK" /"ZESZYTY WĘGIERSKIE"/, znana jest też polskiemu czytelnikowi w tłumaczeniu, właśnie z węgierskiego /Wyd. CDN, 1986/.

György Krassó był też głównym organizatorem protestu przeciwko przymusowemu leczeniu Tibora Pákha /znanemu i u nas ze swojego udziału w głodówkach w Podkowie Leśnej/, a po 1981 roku organizatorem akcji solidarnościowych z Polską i pomocy. Współpracuje stale z pismem "HIRMONDÓ" /"KURIER"/, wychodzącym od 1983 roku. W 1984r. powstaje niezależna oficyna wydawnicza Magyar Október /Węgierski Październik/, której jest głównym założycielem. Nakładem tej oficyny ukazał się na przykład "Dziennik Węgierski" - Wiktora Woroszyłskiego, w węgierskim tłumaczeniu oczywiście. Wydano też zbiór esejów Istvána Bibò pt.: "O węgierskiej rewolucji" z lat 1956 i 1977, a także słynną książkę Béli Szász'a /piszącego też pod pseudonimem Vincent Savarius/ - "Bez żadnego przymusu" o procesie Lászlò Rajka, straconego w 1949 roku. Oficyna wydała również 3 komplety zdjęć amatorskich /po 20 zdjęć w każdym komplecie/ z Powstania Węgierskiego 1956 roku oraz 90-cio minutową kasetę zatytułowaną "Głos Węgierskiej Rewolucji", zawierającą między innymi audycje radiowe z okresu 23 X - 7 XI 1956 i historię powstania.

W 1984r. znów jest represjonowany, w październiku zastosowano wobec niego nadzór policyjny czyli zakaz przebywania w miejscach publicznych /teatr itp./, zakaz opuszczania domu od godzin wieczornych do rana, rewizje, telefon na podsłuchu.

W kwietniu 1986r. wyjeżdża do Londynu w związku z tragicznym wypadkiem i śmiercią brata, który tam mieszkał. Od tego czasu mieszka w Londynie, natychmiast staje się współpracownikiem "Voice of Solidarity" /obecny tytuł "The Bloc"/. W dalszym ciągu jest aktywnym działaczem, ma stałe i bieżące kontakty z krajem. Regularnie prowadzi obszerny dział o tym co wydarzyło się na Węgrzech w jednym z najważniejszych emigracyjnych pism węgierskich "IHODALMI ÚJSÁG" /"WIADOMOŚCI LITERACKIE"/, wydawanym w Paryżu. Obecnie zaczął redagować i wydawać /właściwie sam/ systematyczne komunikaty, czyli rodzaj pisma, "MAGYAR OKTÓBER TAJEKOZTATOSZALGALAT" /"SŁUŻBA INFORMACYJNA WĘGIERSKIEGO PAŹDZIERNIKA"/ po angielsku i węgiersku.

BIEDRONKA

/na podstawie niezależnego pisma węgierskiego "HIRMONDÓ"/

ZSRR - AFGAŃSKA LEKCJA:
O JEDEN MOST ZA DALEKO .

przedruk: "THE WARSAW VOICE" *, 5.III.1989,
nr. 10/20/, str. 12

Punktualnie o godz. 10.00 w piątek, 15-go lutego, generał lejtnant Boris Gromow, jeden z czołowych sowieckich generałów, głównodowodzący "ograniczonego kontyngentu" żołnierzy sowieckich w Afganistanie, przekroczył 960-metrowy most nad rzeką Amu-Darią i został powitany w sowieckim Turmezie. W tym momencie sowiecka interwencja, która rozpoczęła się w 1979r. została oficjalnie zakończona.

W swym pierwszym oświadczeniu, Gromow /lat 45/, oświadczył, że wycofanie wojsk należy uważać za sukces militarny, że żołnierze są w doskonałym stanie i są świadomi honorowego wypełnienia "internacjonalistycznego obowiązku". Jednakże nawet sowieccy komentatorzy prasowi przyjęli oświadczenie generała z niejakim sceptycyzmem.

* pismo oficjalnie wydawane w Warszawie w angielskiej wersji językowej, - ujawnia występujący w Sowietach szok afgański ze szczerością niespotykaną jak narazie w peerelowskiej prasie. Sądzimy więc, że będzie interesujący dla naszych Czytelników - Redaktor Dyżurny.

Historia interwencji afgańskiej jest przede wszystkim historią polityki światowej, równowagi sił w Azji, bezpieczeństwa sowieckich granic, idei "republiki islamskiej", która zyskuje na popularności sił.

Wypowiedzi tych, dla których afgańskie bagno było sprawą życia i śmierci, samych żołnierzy, są bardziej wymowne. Ich powrót do domu będzie bolesnym doświadczeniem, a dziewięć lat spędzonych w Afganistanie, odcisnie się w zbiorowej świadomości narodu. Doraźne wnioski z analiz prowadzonych w Moskwie sugerują, że grudniowa decyzja 1979 roku była największym błędem powojennej, sowieckiej polityki zagranicznej. To było o jeden most za daleko.

W ostatnich miesiącach polityka informacyjna "w temacie afgańskim" zmieniła się istotnie, prasa sowiecka dostarcza w tej chwili wielu szczegółów dotyczących problemów żołnierzy i ich dowódców w stopniu, który doprowadził do oskarżenia o "nadmierny masochizm i rozdrapywanie świeżych ran" przez bardziej konserwatywne elementy. Problemy, które ujawniły się po wycofaniu z Afganistanu, "szok powrotu", są dyskutowane otwarcie. Wszystkie fakty i oświadczenia publikowane przez "THE WARSAW VOICE" pochodzą z takich periodyków jak: "PRAWDA", "LITERATURNAJA GAZIETA", "MOSCOW NEWS", "OGONIOK", wojskowa "KRAŚNAJA ZWIEZDA" i liczne gazety prowincjonalne, które również dostosowują się do obecnego trendu.

Jak w rzeczywistości wyglądało wprowadzenie "ograniczonego kontyngentu" wojskowego ?

W wielu wypadkach żołnierze oświadczają, że nie wiedzieli, gdzie są wysyłani i w jakim celu. Część z nich była po prostu załadowana do samolotów transportowych z informacją, że jada na manewry, innym oficerowie oświadczyli, że udają się do Afganistanu, by bronić granic ZSRR przed siłami chińskimi i amerykańskimi. Innych wreszcie informowano, że udają się do Afganistanu, aby pomóc ludności miejscowej w różnych pracach inżynierskich. Dla wielu 20-latków lądowanie na lotnisku w Kabulu okazało się największym szokiem w ich życiu.

W pierwszych latach poborowi ze wszystkich republik sowieckich byli wysyłani do Afganistanu. Później, ze względu na wzrastającą liczbę przypadków dezercji z jednostek złożonych z poboru w republikach azjatyckich /zwykle Muzułmanów/, wysyłano jedynie żołnierzy z garnizonów europejskich. Co więcej, komentator gazety młodzieżowej zauważa: "synowie ważnych osobistości nie bywali w Afganistanie, to było zarezerwowane dla facetów pochodzących z przeciętnych rodzin".

Przed ponad rokiem brałem /WZ/ udział w dyskusji toczącej się w Moskwie nt. wojny afgańskiej. Członek redakcji "KOMMUNISTYCKIEJ PRAWDY", przewodniczący dyskusji, ostro odrzucał wszelkie porównania z amerykańską interwencją w Wietnamie. Jego głównym argumentem było to, że "nigdy nie spotkał żołnierza, który by poddawał w wątpliwość zasadność tej misji". Jednakże zapytany o to, dlaczego ogromna liczba żołnierzy używa narkotyków, stracił na co zapamiętał. Po 1985r. sowiecka prasa często komentowała nadużywanie narkotyków przez żołnierzy. Dopiero po 85-tym, gdyż wcześniej nie wolno było nawet poruszać problemu obecności militarnej w Afganistanie.

Gdyby ktoś próbował wyrobić sobie pogląd na temat działalności "ograniczonego kontyngentu" na podstawie doniesień prasowych z lat 1979-1985, odniósłby wrażenie, że to co sowieccy żołnierze robią w Afganistanie, to budowanie domów, kopanie kanałów, rozprowadzanie żywności i ropy wśród miejscowej ludności czy też organizowanie szkół. Nie było informacji o starciach zbrojnych. W tym samym czasie każdego dnia most w Tarmezie przekraczały kolumny ambulansów sanitarnych, a samoloty nazywane przez weteranów "czarnymi tulipanami", przywoziły zwłoki zabitych.

Dla wielu młodych żołnierzy prawdziwa wojna była szokującym zaskoczeniem, w przeciwieństwie do zapewnień oficerów politycznych, ludność miejscowa okazywała brak zaufania i wrogość. "Oni nie chcą nas ani rewolucji" - powiedział jeden z weteranów "PRAWDY". Stosunek tubylców stanowił nie mniejszą presję niż ataki mudżahedinów.

"Morale naszych oddziałów jest doskonałe" - pisali dowodzący oficerowie w swych raportach z Afganistanu. Rzeczywisty stan rzeczy odbiegał znacznie od tego stwierdzenia. Branie narkotyków zabezpieczał powszechny handel. Wszystko sprzedawano Afgańczykom: buty wojskowe, ubrania, paliwo a nawet broń. Śmiercionośny AK-47 kosztował na czarnym rynku około 1.000 dolarów. "Handel wymienny" obejmował również jeńców. Pewien major sowiecki, wzięty do niewoli przez mudżahedinów, powiedział reporterowi "PRAWDY", że pierwszym pytaniem było, ile jego współbratcy skłonni są zapłacić za jego zwolnienie. W końcu uzgodniono cenę dziesięciu sztuk AK-47 i 20 baniek benzyny.

Codziennie część sowieckiego kontyngentu wracała do domu, niektórzy ranni, inni zdemobilizowani. Wtedy zaczynały się prawdziwe kłopoty. "Afgańcy" /weterani, którzy wrócili z Afganistanu/ okazywali się niemal całkowicie niezdolni do życia w normalnym społeczeństwie. "Syndrom Wietnamski" pojawił się w ZSRR.

"Oni wysyłali nas do walki o idee, podczas gdy bałagan i korupcja zalewa kraj - to nie o to walczyliśmy". To typowa post-afgańska refleksja. Za słowami często następowały czyny - raporty z okresu "głębokości" pokazywały szereg prób zaprowadzenia porządku na własną rękę. Rejestrowano przypadki samosądów /lynchów/. Siły policyjne okazywały się często niezdolne do akcji przeciwko paramilitarnym formacjom organizowanym przez grupy weteranów. Władze często dolewały oliwy do ognia. Wiele raportów, publikowanych obecnie - o wiele za późno - mówi otwarcie o nieuczciwym traktowaniu powracających weteranów.

Zgodnie z ustaleniami rządowymi, dotyczącymi przywilejów dla weteranów wojennych, powinni oni mieć pierwszeństwo otrzymania mieszkań, przedmiotu o który trzeba walczyć z zaciętością przypominającą potyczki w pobliżu Kabulu. W praktyce, komisje mieszkaniowe spółdzielni często wyrażają pogląd, że były żołnierz "może poczekać, ma dopiero 22 lata, a już chciałby mieszkanie". Przydziały samochodów, i co gorsze, rent dla inwalidów wojennych są traktowane w podobny sposób. Sytuacja tej ostatniej grupy weteranów jest rzeczywiście alarmująca.

Pewien 22-letni inwalida nie może pracować normalnie, mając rodzinę. Weterani byli traktowani jako zło konieczne; przed kilkoma miesiącami sowiecka prasa opublikowała wstrząsający komentarz pewnego lekarza, który krytykowany przez pacjenta, byłego żołnierza, powiedział po prostu: "Ja nie wysyłałem cię do Afganistanu".

Sytuacja inwalidów posiadających wsparcie rodziny jest do pewnego stopnia znośna. Głównym problemem są protezy kończyn z powodu długiej listy oczekujących. Sytuacja tych, którzy muszą radzić sobie sami, jest w istocie tragiczna - wynagrodzenie dla opiekuna inwalidy wynosi 30 rubli na miesiąc /około 50 \$ w/g oficjalnego kursu i 6 \$ według kursu czarnorynkowego/. Kto podejmie się opieki za taką sumę? Nie powinno się wogóle doprowadzać do tego typu wyboru. Czasami nawet bliscy - zwykle młode żony - opuszczają weteranów - inwalidów, kierowane chęcią prowadzenia normalnego życia.

Inny skandal dotyczy rodziców tych, którzy zginęli w Afganistanie: zgodnie z prawem radzieckim muszą oni płacić podatek dla bezdzietnych. Ten problem został podniesiony przez tygodnik "OGONIOK", który opublikował list od kobiety, której dziecko poległo w bitwie. Ona płaciła ten podatek przez cztery lata, zgodnie z argumentem bycia bezdzietną. /Zgodnie z prawem radzieckim - wszyscy, którzy pozostają bezdzietni powyżej 25-go roku życia, podlegają opodatkowaniu, dotyczy to również małżeństw do momentu, gdy mąż i żona osiągną odpowiedni wiek - 50 lat i 45 lat dla kobiet/. W odpowiedzi na doniesienia prasowe władze oznajmiły, że rozważają sprawę zwolnienia od tego podatku rodzin, które straciły swych bliskich na wojnie.

A co ze 115 tys. "Afgańców," którzy wrócili do domów? To pytanie zadają sobie nie tylko władze. Większość żołnierzy pozostanie w armii, ale to nie znaczy, że nie będzie problemów związanych z ich powrotem. Dowództwo wojskowe zastanawia się obecnie, jak obecność weteranów wpłynie na tych, którzy nigdy nie spróbowali prawdziwej wojny. Dotyczy to szczególnie rekrutów właśnie zaczynających służbę. Na wszelki wypadek jednostki, powracające z Afganistanu, zostały rozesłane do różnych rejonów kraju, w bezpiecznej odległości jedne od drugich.

Główny problem stanowią żołnierze powracający do życia cywilnego. W minionych latach, kiedy powracali w małych grupach, część z nich popadła w konflikt z prawem, przyłączając się do grup kryminalnych w charakterze goryli. W niektórych przypadkach weterani znaleźli zatrudnienie jako agenci bezpieczeństwa dla ochrony prywatnych przedsiębiorstw /spółdzielni/, które obawiają się podziemia kryminalnego.

Jakiś czas temu, sowiecka prasa została zalana dramatycznymi informacjami o rzekomym zatrudnieniu dużej grupy byłych spadochroniarzy przez nacjonalistyczne ugrupowanie "Pamiat". Mieli oni wziąć udział w gwałtownych zamieszkach, które zostały stłumione przez specjalne oddziały policyjne z najwyższym trudem. Podejmowane przez państwo sposoby adaptacji "Afgańców" do normalnego życia są wysoce niezadowolające. Niektóre propozycje zakrawają na kiepski żart. Na przykład zatrudnienie weteranów jako nauczycieli przysposobienia wojskowego w szkołach. Inny pomysł, masowe mitingi weteranów, został szybko zarzucony z obawy przed przerodzeniem się wieców w niekontrolowane zamieszki. Najbliższe miesiące pokażą, na ile proces adaptacji będzie udany.

Sowiecka interwencja i 9-letnia wojna były surową lekcją dla armii ze ściśle militarnego punktu widzenia. Szereg zasad zbrojnego zaangażowania nie zdało egzaminu i muszą być sformułowane nowe metody. Armia radziecka, ćwiczona przede wszystkim do działań na środkowo-europejskim teatrze wojennym, polegająca na ciężko uzbrojonych jednostkach zmechanizowanych, okazała się bezużyteczna w warunkach afgańskich. "Musimy docenić wartość dobrej piechoty" - powiedział jeden z sowieckich dowódców.

W pierwszych latach konfliktu Sowieciom udało się zapanować w powietrzu dzięki ich MI 24, helikopterom - kanonierkom, niezastąpionym w zaskakujących rajdach powietrznych. Sytuacja zmieniła się z chwilą wyposażenia miżahedinów w amerykańskie stingery i blowpipe. Aby uniknąć tej broni, helikoptery musiały latać na bardzo niskich wysokościach, czasem z pilotami, którzy nie byli do tego przygotowani. Akademia lotnicza musiała wprowadzić nowe metody szkolenia. Z taktycznego punktu widzenia, oddziały powietrzne, wykonujące niespodziewane rajdy, okazały się bardzo efektywne, chociaż wcześniej tego typu taktyka nie była doceniana w sowieckiej teorii militarnej. Wogóle pierwsze miesiące wojny były twardą lekcją. Oficer sztabowy zauważył: "jeśli wziąć pod uwagę, że nasze jednostki z całym ich wyszkoleniem, nie radzą sobie z grupami partyzanckimi uzbrojonymi w karabiny z okresu II wojny światowej, ja nie wyobrażam sobie, co by się stało, gdyby trzeba było stanąć przeciwko oddziałom NATO".

Weterani nie szczędzą krytyki podstawowego i specjalnego wyposażenia. Saperzy narzekali na zbyt ciężkie buty, grożące utratą nogi w przypadku spotkania miny. Taka sama mina dla człowieka w obuwiu sportowym groziłaby w większości wypadków utratą palców lub stopy. W rezultacie, żołnierze kupowali takie buty na bazarze w Kabulu. Kierowcy ciężarówek narzekali na brak jakichkolwiek osłon ochronnych ich samochodów, będących łatwym celem. W istocie potwierdzały to straty w zasadzkach na drogach. Latem pojazdy radzieckie nie były wyposażone w odpowiedni płyn do chłodnic, a zimą brakowało łańcuchów na koła. W warunkach górskich prowadziło to do łatwych do przewidzenia rezultatów. Narzekano też na brak takich rzeczy jak mydło, detergenty, środki dezynfekujące, co często prowadziło do infekcji i epidemii.

"Afganistan jest dla nas ropiejącą raną" - powiedział Valentin Falin w wywiadzie dla "DER SPIEGEL". To oświadczenie dotarło do wiodących organów prasowych na całym świecie. Ta rana nie zblizniła się 15 lutego, po przejściu mostu w Termezie. Ferment, spowodowany wojną, będzie odczuwalny w Związku ~~Sowieckim~~ przez lata. 15 tys. zabitych, 50 tys. rannych, 37 tys. inwalidów i trudna do określenia liczba kalek psychicznych i moralnych, tysiące rodzin bez ojców, mężów i synów i pierwsza kampania wojenna, przegrana od czasów II wojny światowej. Chociaż w swoim przemówieniu na 19-tej Konferencji KPZR w Moskwie /czerwiec 1988r./ generał Gromow powiedział, że "nie można tego uważać za klęskę militarną - przyszlismy do Afganistanu nie po to, aby wygrywać bitwy, ale aby pomóc młodej republice" - to jednak nie jako zwycięzca przybył do Tarmezu i nikt nie wie, co czeka republikę afgańską. Jedyne przyszłość gen. Gromowa wydaje się być jasną - został mianowany głównodowodzącym Kijowskiego Okręgu Wojskowego.

Witold ŻYGULSKI

/tłumaczył Andrzej K./

KOMUNIKATY:

1. Apelujemy o pomoc finansową i rzeczową.
2. Tadeuszowi Lic i "FRIENDS OF "NIEPODLEGŁOŚĆ" dziękujemy za części.

Ukazujący się od stycznia 1982 r. miesięcznik polityczny "NIEPODLEGŁOŚĆ" wydawany jest przez GRUPĘ PISMA "NIEPODLEGŁOŚĆ" - S.A.

Posiada ona wszelkie prawa wydawnicze na obszarze Polski. Przedruk poszczególnych artykułów dozwolony z podaniem źródła. Całość po porozumieniu z CP"NP".

Prawami wydawniczymi zagranicą dysponuje nasz Przedstawiciel Tadeusz KADENACY - 32, WINTERTHOLD CLOSE, LONDON, SW 19 6 LE.

Współdziałają z nami, na terenie:

- Wielkiej Brytanii "FRIENDS OF "NIEPODLEGŁOŚĆ" /adres - Tadeusz KADENACY/,
- Skandynawii - Janusz CUPRYJAK /Villagatan 10, 3301 Forsheda, Szwecja/.